GŁOS POMORSKI

Nr. 299 — Rok 4.

(GAZETA POMORSKA)

Numer pojedyńczy 10 gr. (Numer niedzielny 15 gr.)

Prenumerata miejscowa: Przy odbiorze w ekspedycji **1,80 Złp.** w agenturach miejscowych miesięcznie **1,85 Złp.**, przez pocztę przy zamówieniu przez ekspedycję naszą **2,05 Złp.**, wprost na poczcie lub u listowego miesięcznie **2,1‹ Złp.**, dla W. M. Gdańska 2,5 Guld. Gd. — pod opaską w Polsce **3,50 Złp.**, do Gdańska 4.00 Guld. Gd., do Francji 18 fr., (z wysyłką co 2-gi dzień 14 fr). do Anglji 5 shil do Stanów Zjednoczonych 80 cent W razie nieprzewidzianych wypadków, jak strejki, przeszkody techniczne i. t. d. prenumeratorzy nie mają prawa żądania niedostarczonych numerów, lub zwrotu prenumeraty.

Rachunek bieżący: Bank Powiatowy Grudziądz, Bank Związku Spółek Zarobk., Danziger Privat-Aktienbank Gdańsk i Grudziądz, Bank Polski Grudziądz. — Konto czekow Gdańsk nr. 2980. Konto pocztowe: Kasa Oszczędności, Oddział w Poznaniu nr. 201 193. Miejsce płatności wykonania Grudziądz.

Ogłoszenia z Polski. Wiersz wysokości milimetra w dziale ogłoszeniowym na stronie 8-łamowej 8 groszy w dziale reklamowym na stronie 1-3 sm. przed tekstem 60 groszy, wśród tekstu 35 groszy za tekstem 28 groszy dla W. M. Gdańska wiersz m/m. 8-łam. w dziale ogł. 0,10 Guld. Gd., wiersz m/m 3-łam. przed tekstem 0,66 Guld. Gd., w tekście 0,40 Guld. Gd. za tekstem 0,31 Guld. Gd., dla Niemiec dochodzi 50% nadwyżki, dla reszty zagranicy 100% nadwyżki. Za tłomaczenia 20 proc. nadwyżki. — Rachunki są natychmiast płatne. — Administracja nie przejmuje odpowiedzialności za terminowe umieszczenia ogłoszeń.

Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Dyrektor przyjmuje od godz. 10-tej do 11-tej przed południem.
Redaktor Naczelny przyjmuje od godz. 11-tej do 12-tej w południe.

Redakcja i Administracja Grobiowa 27/29. | **Grudziądz,** czwartek, dnia 25-go grudnia 1924. | Telefon nr. **50 i 51.**

Testament.

Święcimy rocznicę!

Nie zdawkową, nie doroczną, ale taką, nad którą nie przechodzimy z mniej lub więcej obojętnemi uczuciami do porządku dziennego.

Tym razem święcimy bowiem rocznicę powstania i realizowania państwowej myśli polskiej, państwowego czynu polskiego.

Bolesława Chrobrego panowanie chyliło się ku końcowi. Wśród bojów i układów umacniał on prawie lat trzydzieści Polskę na zewnętrz i wewnątrz, kreśląc jej granice tak wschodnie jak zachodnie, wprowadzając ład i ustrój wewnętrzny.

Koronacja króla, uznanie go za równorzędnego ze strony Otona, ówczesnego cesarza wielkiego mocarstwa światowego, jakiem było państwo niemiecko-rzymskie, było uzewnętrznieniem nietylko zwycięskich walk i mądrej polityki Chrobrgo, ale było jawnym wynikiem celowej i mądrej polityki króla, dla którego interes państwa — salus rei publicae, jak się później mawiało, a dziś dobro państwa — był drogowskazem jego poczynań państwowych.

Orły Bolesławowe stały strażą nad brzegami Bałtyku, Wrocław i Śląsk miały pod swą opieką, nietylko grody czerwieńskie były im poddane, ale legendarny szczerbiec o kijowskę bramę się wyszczerbił.

Mówią dziejopisarze, że jako piorun zjawiał się niespodzianie, a szybko. Szybkości tej tajemnicę powodzeń swych zawdzięczając tak, jak rozumnej a szybkiej decyzji zaprowadzenie ładu i organizacji wewnętrznej.

Od rzeki Saali aż po Rostokę dzisiejszą szły zachodnie granice polskie, a wschodnie krańce już wówczas krwawiły w usiłowaniu o spokój i jedność z Macierzą polską.

Mocarstwową potęgą uczynił Chrobry Polskę. I tragedię jego było, że już następca nie zdołał utrzymać, co on zyskał i umocnił. Odpadały ziemie — jedna po drugiej — a bierne stanowiska dalszych następców ułatwiały nie tylko podbój, ale i podział mocarstwa Chrobrego.

Małuczko, a z potęgi Chrobrego zostało tylko wspomnienie i dopiero zwycięstwo pod Grunwaldem przywróciło Polsce stanowisko mocarstwowe.

W czem leży przyczyna, że Chrobrego granice nie przetrwały dłuższego okresu? W czem, że zaledwo oczy zamknął, już słabnąć poczęła jego idea? W czem, że mimo to ona żywie po dziś dzień — po latach 900 — jako symbol siły i potęgi polskiej państwowości?

W czem? — Oto, Chrobry był za wielką indywidualnością, za wielkim, wyrosłym po nad przeciętność ówczesnych, by następcy jego zdołali utrzymać to, co on zyskał i nad czem władał. I dla tego słabnąć, a następnie rozpadać poczęło się wielkie dzieło Bolesławowe aż wieków trza było by wyrośli następcy — jak Bolesław Śmiały, Bolesław Krzywousty, Władysław Łokietek — by znów Polska choć na czas pewien wróciła do idei Bolesławowej. I znów wieków było potrzeba, by ona się gruntowała, aż przyszedł jej zanik i grób polskiej państwowości w chwili, gdy zdawało się, że stoi Polska u szczytu potęgi, w chwili, gdy Albrecht brandenburski „ślubował wierność i posłuszeństwo“ Polsce. To, co zdawało się być potęgą Polski, było jej grobem, bo było odsunięciem się od idei Chrobrego, bo było tragedją Polski, którą tak po mistrzowsku ujął nasz wielki Matejko w owem smutnem i bolesnem spojrzeniu błazna królewskiego Stanczyka.

Wszyscy się cieszą, lecz nikt — zda się nie widzi — że pod sercem Polski wyrośnie z Brandenburczyka żmija gadzinowa, która prędzej czy później podepce ideę Bolesławową, podepce, bo jej w drodze będzie, podepce, bo Polska o nią dbać nie bedzie, bo jej zaniecha!

A jednak ona nie zanikła. I w chwili, gdy Polska chyliła się ku upadkowi, a raczej już była państwowo zanikła, unaoczniła się ona narodowi jako idea, której niedocenianie przyniosło Polsce niewolę. Wyrazicielem tego przekonania jest nie kto inny jak Mickiewicz w swych wykładach słowiańskich, dających zarys historji ludów słowiańskich wogóle, a Polski szczególnie i jej stosunku do Niemiec i Rosji. Wskazuje tam Mickiewicz na wielkości idei Bolesławowej, zatraconej przez wewnętrzne spory krajowe.

Dziś gdy po 150 latach niewoli Polska powstała na nowo, idea Bolesławowa odżyła na nowo. Dziś atoli jest ona już nie rozumiana przez pewne jednostki. dziś rozumie ją, zastanawia się nad nią i ocenia ją cały naród. Dziś państwowość polska nie jest już frazesem, ale słowem, za którem przez Konstytucję stoi obowiązek państwowy.

I ten obowiązek wskazuje nam na ideę Bolesławową, ideę tego króla, który Chrobrym się zowiąc, granice mocarstwowe Polski nakreślał.

Dziś one jako obowiązek strzeżenia i wykonania testamentu Wielkiego Króla żywieć w nas muszą.

Podobnie jak wówczas mamy na wschodzie i zachodzie wrogów, przemożnych na zachodzie, przebiegłych na wschodzie. W tem tarciu Polska jak ongi Bolesławowa jako mocarstwo i dziś się tylko ostać może. Mocarstwową być musi nasza polityka, mocarstwowe dążenie do siły i potęgi państwowej. Nie wolno nam stawać i upajać się wolnością. Ale jako Bolesław być zawsze w pogotowiu na wszelkie niespodziane i spodziewane niebezpieczeństwa, w sobie samej i z siebie samej czerpiąc siłę nietylko do obrony, ale — jak potrzba — i do ataku.

Zmieniły się warunki i zmieniły się metody. Została atoli idea wielka, przemożna jako „ta siła“ — jak mówi poeta — „fatalna“, którą spełniać, na straży której stać musimy.

Nie chcemy i nie pragniemy tego, co nie nasze. Ale w nas żywieć musi ta siła tajemnicza, która kieruje nami nie tylko by utrwalić to, co mamy, ale by zdobyć to, co było nasze.

Nie chcemy zamieszek i awantur wojennych. Ale to wiemy i to wiedzieć musimy, że — chcąc spełnić testament Bolesławowy, — czeka nas jeszcze orężne zmierzenie z tymi, którzy temu testamentowi, tej idei Chrobrego się przeciwstawiają.

I dla tego w 900-lecie Bolesławowe — szanując wszelkie zabiegi pokojowe — ćwiczmy wolę naszą w karności i jedności państwowej, szykujmy oręż w ostrości, by, gdy przyjdzie godzina nakazu dziejowego spełniony został przez nas lub naszych następców testament Bolesławowy: umocnienia granic Polski, ujęcia w nich wszystkich dzieci polskich.

I albo uświadomimy sobie ten obowiązek i go spełnimy, albo nie zdołamy go spełnić, stając się wówczas igraszką w ręku naszych wrogów.

O tem pamiętajmy, hołd śląc ku prochom Wielkiego Króla, spoczywającego w katedrze poznańskiej.

Pamiętajmy, że jak On przed laty 900 sam sobie włożył koronę monarszą na głowę na dowód swej samodzielności, tak i my dziś sami o siebie oprzeć się musimy, zmagając przeciwieństwa, by od Odry aż po Wilję, od Dniestru aż po Bałtyk nietylko Polska była, ale **mocar-**

Co mówi Poincaré?

W telegramach przedwczorajszych donosiliśmy już o artykule b. prezydenta Francji Poincarego, zamieszczonego w niedzielnym „Kurj. Warsz.“ na temat **„My i Wy“**. Artykuł ten powinien, zdaniem naszem, żywem echem odezwać się w Polsce. I dla tego podajemy go za „Kurj. Warsz.“, by czytelnicy nasi zapoznali się w tej chwili z zakulisowemi zabiegami i jawnemi groźbami niemieckiemi, jak położeniem obecnem wogóle, a na jego tle położeniem Francji i Polski, które ocenia tak wybitny polityk, jak b. prezes rządu francuskiego, p. Raymond Poincare.

*

„Poczet objawów przyjaźni francusko-polskiej w czasach ostatnich wzrósł znakomicie, a nikt bodaj ode mnie bardziej się tem radować nie może“ — rozpoczyna p. Poincare. — „Pan minister hr. Skrzyński, zdając sejmowi sprawę z prac dokonanych na piątem zgromadzeniu Ligi Narodów, mógł powiedzieć, że wszystkie obecne i najbliższe zagadnienia są w Paryżu i w Warszawie pojmowane jednakowo. Niema, być może, na świecie dwu innych narodów, których rządy miałyby podstawę do ogłoszenia tak ścisłego ich zespolenia. Bo — poza Francją i Polska — niema innych narodów, tak silnie związanych wspólnością tradycji i odwiecznem powinowactwem duchowem. Podczas swej świeżej bytności we Francji mógł p. gen. Sikorski stwierdzić osobiście, że uczucia sympatji dla Polski są tam we wszystkich warstwach tak żywe i tak zakorzenione w sercu narodu, iż nie ulegają wpływom zmiennych prądów politycznych. Osobistości, którym roznamiętnienie, czy wadliwy punkt widzenia, podszepnęły niedawno słowa niesłusznego lub przesadnego sądu, teraz nie omieszkały, wobec polskiego ministra wojny, pośpieszyć z wyrazami najwyższego podziwu dla młodej Rzeczypospolitej Polskiej. Nigdzie niema śladu jakichkolwiek uprzedzeń. To też po podpisaniu w końcu października umowy handlowej, uzupełniającej umowę, zawartą w r. 1922 przez rząd, któremu przewodniczyłem, opinja francuska wyraziła jednomyślnie swą radość. Oczywiście, rokowania w sprawach umowy handlowej nie obywają się nigdy bez trudności. Sympatje wzajemne nie zagłuszają potrzeb i interesów każdego kraju. Lecz tu pp. Serruys i Tennenbaum jako przedstawiciele Francji i Polski, pozuli się obai niejako zmuszeni przez powszechną wolę swych narodów do rozwiązania kwestji; rozwiązania, które, jak wierzę, udoskonala stosunki handlowe między obu krajami. Wina francuskie, musujące i nie musujące, w butelkach czy w beczkach, nie będą podlegały dawnym stawkom celnym. Likiery materje jedwabne, samochody i inne, towary ongiś sprzedawane przez Francję w Rosji, lub w prowincjach polskich, wcielone do Austrji lub Niemiec, znajdą od tej chwili życzliwe przyjęcie na rynkach Polski wskrzeszonej. I odwrotnie. Francja — ze swej strony — uznaje prawa najważniejszych gałęzi polskiego przemysłu i zapewnia dla okręgów przemysłowych polskich, okupowanych dawniej przez Austrję i Niemcy, prawa nie niższe od tych, które posiadały one dawniej, jeszcze nie należąc do Polski. Równoważą zatem całkowita; trudno o lepszy dowód wykazanych przez obie strony dobrej woli i wysiłku.

W innym zakresie pojęć rząd francuski, wespół z Akademją francuską i paryskim uniwersytetem, zajął się sprawą zorganizowania w Polsce Instytutu francuskiego któryby popierał sprawę wymiany wartości intelektualnych między naszymi uczonymi, literatami, profesorami i młodzieżą akademicka. Akademja francuska zechciała mi powierzyć reprezentowanie jej w Radzie administracyjnej tej instytucji. Podjąłem się tego z wielką radością, w głębokiem przekonaniu, iż dokładne wzajemne przestudjowanie obu kultur, metod myślenia, całej koncepcji życia indywidualnego i społecznego, okaże się jednym z lepszych sposobów jeszcze większego zacieśnienia węzłów, łączących obie nasze republiki. W tej dziedzinie mamy i we Francji i w Polsce wiele jeszcze do zrobienia. Lepiej zdać sobie z tego sprawę jasno zawczasu, niż potem doznać rozczarowania.

Wielu Polaków nie zna dobrze współczesnej Francji. Kochają ją nieco na wiarę przeszłości; sądzą jednak o niej ze zwodniczych pozorów i według cudzych opinji. Polacy nie przeniknęli duszy francuskiej. Przedtem powinni wniknąć w istotę obyczajów, prawa, literatury i nauki francuskiej

Nieuświadomienie wielu Francuzów co do Polski jest jeszcze większe. I oni żyją przeważnie wspomnieniami przeszłości, lecz o współczesnej Polsce nie wiedzą oni nic, lub prawie nic. Czytając w dziennikach wzruszające wiadomości o powrocie do Polski prochów Henryka Sienkiewicza, doświadczają oni niezawodnie uczuć sympatji i podziwu. Słuchając przemówienia o niezależności i suwerenności Polski, odczuwa natychmiast Francuz całą swą duszą radość. Są to jednak raczej objawy sympatji uczuciowych, niż świadectwa przejęcia się temi sprawami. Musimy poznać Polskę współczesną nie dla tego, żeby ją więcej kochać, co jest już niemożliwe, lecz po to, — żeby ją lepiej kochać. Niestety, językiem polskim włada zbyt mała liczba Francuzów. Język polski jest dla większości zagadką i tajemnicą. Jest wykładany jeszcze bardzo skąpo na naszych uniwersytetach i w liceach. Ci, co go studjują samodzielnie, napotykają prawie nieprzezwyciężone trudności. Krótko mówiąc, musimy wszyscy podwoić swe starania, aby ustalić między naszemi krajami prawdziwą wspólność umysłów i ducha. Wiele kolejno po sobie następujących pokoleń przygotowało pod to dobry grunt. Chodzi teraz o przygotowanie go należycie, o dobre ziarno i — o zebranie owoców.

Pierwszym warunków obfitości przyszłego plonu jest, aby Polska i Francja pracowały razem i zupełnie jednomyślnie nad zapewnieniem pokoju. I dla jednej, i dla drugiej zasadnicze gwarancje pokoju są zawarte w traktatach z 1919 roku. Wszelki zamach, bezpośrednio czy pośrednio wymierzony przeciw tym traktatom, każda próba zmiany ustroju Europy, dokonana przez jakiekolwiek mocarstwo, mogłyby być w skutkach swych fatalne dla Polski, zawdzięczającej zwycięstwu sojuszników swą odbudowę. Umowy dyplomatyczne, zawarte po wojnie, pozwoliły Polsce na wskrzeszenie bytu niepodległego i to istnienie niepodległe utrwaliły.

Jako zainteresowani w zachowaniu traktatów, musimy służyć przykładem w szanowaniu — w każdym wypadku — traktatowych postanowień. Nasze demokracje, z gruntu pokojowe, służyły często za cel dla potwarców, fałszywie oskarżających je o nigdy niebyłe aspiracje, o imperjalistyczne dążenia, o nie wiem już jaką niecierpliwość, przeszkadzającą im jakoby być, w spokoju w obrębie swych granic. Niedość jest odpowiedzieć samą tylko pogardę na te absurdalne kłamstwa. Należy naszą postawą i naszem zachowaniem się dowieść prawdziwego stanu rzeczy. Ani Polska, ani Francja nie pożądają cudzych terytorjów, nie myślą też o atakowaniu kogokolwiek, mają jednak i prawo, i obowiązek czuwania nad tem, aby nie dać możności innym ich zaatakowania.

Delegacja polska, i francuska w Genewie otwarcie szły stale ręka w rękę. One to pierwsze podpisały protokół, opracowany przez zgromadzenie Ligi Narodów. Z całą gotowością przyjęły zasadę arbitrażu, jako sposób załatwienia zatargów międzynarodowych. Niemniej przecież nie mogły one rozbrajać się, ani nawet ograniczać swych uzbrojeń, nie mając pewności, iż kraje ich będą zabezpieczone od napadu. Wyraźnie wskazał to p. hr. Skrzyński, oświadczając: „Gdybym reprezentował państwo, otoczone morzem, lub państwo, graniczące z narodami moralnie rozbrojonemi, to bym powiedział: zaryzykujemy pierwsi rozbrojenie, — lecz ponieważ nie jest tak, więc oświadczam: wpierw bezpieczeństwo!" Nasze położenie geograficzne wystawia nas na niebezpieczeństwo nowych inwazji i rozbiorów, czego też do zbytku doświadczyły w ciągu ubiegłych stuleci i Polska, i Francja. Ach, gdyby nas bronił piękny pas morski, bylibyśmy spokojni na swych wielkich wyspach, których nie deptał wróg od czasów średniowiecza! Nie zawahalibyśmy się ulżyć naszym płatnikom podatku przez zmniejszenie naszych wydatków morskich i wojennych. Lecz nie znajdujemy się bynajmniej w tak uprzywilejowanem położeniu; przeciwnie, posiadamy sąsiadów niespokojnych, którzy nie wydają się uczestnikami chętnymi w dziele zbudowania nowej Europy, sąsiadów, którzy marzą o ponownem zagarnięciu siłą terytorjów, zajętych przez obcą im ludność, która sama wyzwoliła się z pod ich jarzma.

Sowiety rosyjskie ostro potępiają rządy carskie i mają wdzięczne pole do stawiania im ciężkich i częstokroć usprawiedliwionych oskarżeń. Ale sami bolszewicy, zarówno w Azji, jak i w Europie, wznawiają tę samą politykę zagraniczną starej Rosji monarchicznej i uważają się zapewne — w głębi ducha — za najbardziej godnych kontynuatorów polityki Piotra Wielkiego. Co do Niemiec, to, być może, w chwili danej, pogodziły się one z utratą prowincji, w 1871 r. siłą oderwanych od Francji, a zamieszkanych przez podziwu godnych w swej wierności dla ojczyzny francuskiej obywateli. Niewątpliwie wszakże oczekują jaknajpredszej rewizji swych granic wschodnich. Badają każdego poważniejszego Niemca, polityka czy przemysłowca i szukając w tej rozmowie wyjaśnień co do jego przekonań wewnętrznych, można się szybko przekonać, że ani na chwilę nie rozstaje się on z myślą odebrania Gdańska, Poznańskiego i Górnego Śląska. Najbardziej pokojowo i rozsądnie usposobieni Niemcy mówią: „Nie wydamy wojny dla otrzymania z powrotem tych okręgów, lecz należą one do nas, nie możemy ich wyrzec się dobrowolnie i liczymy, że w przyszłości otrzymamy zaspokojenie naszych słusznych praw". Inni, gorętsi, obmyślają już odwet. Tak dla pierwszych, jak i dla drugich, uznanie wolności ludów jest rzeczą nieistotną. Są wciąż spadkobiercami Fryderyka II i wyobrażają sobie jeszcze dotychczas, że podbój i ucisk stworzyły im jakieś prawa.

Nie, z całą pewnością, Niemcy nie są rozbrojone moralnie. Można im było odebrać jakieś tysiące armat, karabinów i mitraljez, można było zakazać obowiązku pełnienia służby wojsku, lecz prasa, uniwersytety, szkoły, towarzystwa sportowe, organizacje byłych uczestników wojny rozpowszechniają w całym kraju ducha nienawiści i przemocy. Być może, że cała ta agitacja z czasem ustanie; być może — rozsądek zapanuje nad obłędem, prawda nad fałszem, a zdrowie nad gorączką. Lecz — w chwili danej — stoimy w obliczu Niemiec niespokojnych i wzburzonych, w obliczu państwa, które nie pogodziło się z klęską i które usiłuje, na dobitkę, sfałszować historję, przecząc faktowi odpowiedzialności swego byłego monarchistycznego rządu za wojnę powszechną. Jesteśmy zmuszeni widzieć te sprawy tak, jak one stoją istotnie. Nasze mieszkania coprawda są oddzielone od ognisk niemieckich ścianą, lecz nasi sąsiedzi tak chętnie dokładają ognia do swych kominów, iż gotowe są one rozniecić pożar i u nas. Pozostańmy więc na straży i czuwajmy.

Wybory angielskie i ustąpienie p. Mac Donalda pozwalały nam bezwątpienia na łatwiejsze uświadomienie świata co do szczerości naszych intencji pokojowych i co do konieczności zachowania u nas środków obrony. Oczywiście, iż p. Ramsay Mac Donald nie był źle usposobiony ani do Francji, ani do Polski, lecz poczynił on zobowiązania względem ugrupowania, które uważało ogólne rozbrojenie państw kontynentu za środek dostateczny usuwający niebezpieczeństwo wojny. Tak, jakby to nie było właśnie — przeciwnie — najlepszym środkiem do oddania narodów dobrej woli na pastwę narodom wojowniczym, poświęcenie szlachetności na rzecz hypokryzji, a prawa na rzecz gwałtu! Pan Ramsay Mac Donald idealista i purytanin, chciał wierzyć, że przez samo wygłaszanie kazań na temat pokoju osiągnie się go w rzeczywistości! Konserwatywny rząd brytyjski nie posiada bezwątpienia takiej prostoty i takiego niedoświadczenia w rzeczach realnych. W każdym razie, p. Stanley Baldwin w mowie, wygłoszonej w Guil i Hall'u, na uroczystościach wprowadzenia nowego lord-majora Londynu, nie zaniedbał oświadczenia, że Anglja współdziałaby ze sojusznikami przy wykonywaniu traktatów. Deklaracja ta zasługuje na podkreślenie tem bardziej, iż przyjaciele p. Ramsay'a Mac Donalda niejednokrotnie wypowiadali się przeciw traktatom i domagali się ich rewizji. Obecnie możemy liczyć na większe zrozumienie.

P. Stanley Baldwin, z drugiej strony, zachował coprawda przezorne milczenie w kwestji protokółu genewskiego. Nie powiedział, że go uzna; nie powiedział też, że go odrzuci. Konserwatyści w parlamencie angielskim nie są protokółowi przychylni i jest rzeczą mało prawdopodobną, aby Anglja przyjęła go bez zmian. Dowiedliśmy naszej dobrej woli, podpisując protokół natychmiast. To dobrze. Lecz ta wyczekująca postawa Wielkiej Brytanji nakazuje i nam zwiększać powściągliwość w naszem ostatecznem przyłączeniau się do postanowień protokółu. Taki system arbitrażowy w Europie, w którymby nie było Wielkiej Brytanji lub samej Anglji, musiałby chromać i fatalnie niedomagać. Nie możemy się wiązać w sposób nieodwołalny bez pewności, że nasi przyjaciele również się zobowiążą.

Zresztą, jakiekolwiek będą ostateczne losy protokółu, to przecież porozumienia genewskie nie przeszkodzą zachować nam naszych sojuszów specjalnych i środków własnej obrony, oraz obrony przeszłości i miejmy w pamięci słowa największego kaznodziei francuskiego Bossuet'a: „Najniebezpieczniejszym z błędów rozumu jest uważać za osiągnięte to, co jest dopiero naszem pragnieniem".

Niestety jednak samo pragnienie nie wystarcza, acz żywo pragniemy pokoju!" — kończy wywody swe p. prezydent Poincare.

Telegramy.

Senator Smólski podsekretapzem M. S. W.

Warszawa, 24. 12. (AW.) Podsekretarzem stanu Min. Spraw Wewn. mianowany został senator Smólski, b. minister pracy i znawca spraw wschodnich.

(Sen. Smólski należy do Chrześc. Dem. Jest on doskonałym znawcą spraw wschodnich, raz, że z tych okolic pochodzi, powtóre, że czas dłuższy był wojewodą wołyńskim.

Na stanowisku Ministra Opieki i Pracy Społ. oraz poprzednio prezydenta m. Warszawy złożył dowód wielkiej sprawności administracyjnej.

Zatem witamy nominację tę z życzeniem, by przyczyniła się do naprawy stosunków naszych na Kresach Wschodnich.)

Życzenia świąteczne dla Ojca św.

Rzym, 23. 12. (Pat.) Święte kolegjum składało dziś papieżowi życzenia z okazji zbliżających się świąt. Kardynał dziekan Vanutelli odczytał adres, wyrażający życzenia dla osoby papieża oraz życzenia stałego pokoju dla świata, nie tego pokoju, który ustalają traktaty, lecz pokoju, który jest w sercach ludów.

Ojciec św. podziękował za życzenia, składając wzamian swe życzenia kardynałom.

Nawiązując do zbliżających się świąt, Ojciec św. rzekł: Oby spłynęły na ziemię chwała dla Boga i pokój dla ludzi. Oby był to spokój prawdziwy, pokój umysłów, oparty na jaknajszerszem poznaniu prawdy, oby był to pokój serc w atmosferze wzajemnych braterskich i serdecznych stosunków indywidualnych i społecznych między klasami i narodami, oby był to pokój, oparty na woli zgodnie z wolą Boską. Oby rok święty stał się jutrzenką, początkiem tego pięknego świętego pokoju. Oby życzenia te ziściły się w królestwie chrześcijańskiem. Spotkanie się w Rzymie — zakończył papież, tylu wiernych, przybyłych z wszystkich stron świata przyczyni się niewątpliwie do uczynienia pokoju tego powszechnym.

OJCIEC ŚW. ZACHOROWAŁ.

Warszawa, 23. 12. (AW.) Z Rzymu donoszą, że Papież zachorował na lekką influencję.

Niemcy się zbroją.

Bezskuteczność ostatniej kontroli wojskowej w Niemczech. — Istnieje jeszcze znaczna ilość materjału wojennego. — Niemcy nie spełniły ani jednego z pięciu punktów, zawartych w nocie ambasadorów.

Londyn, 23. 12. (Pat.) Niektóre dzienniki podają, że kwestja ewakuacji strefy kolońskiej będzie przedmiotem konferencji między ambasadorem niemieckim w Londynie, a ministrem Chamberlainem. W związku z tą wiadomością komunikują ze źródeł oficjalnych, że w sprawie ewakuacji nie zaszły żadne istotne zmiany i że stanowisko rządu angielskiego znalazło wyraz w oświadczeniu, złożonem w ubiegłym tygodniu w izbie lordów przez markiza Curzona. Zasady, na których opiera się kwestja ewakuacji strefy kolońskiej, wyłuszczone są w traktacie wersalskim, który wyraźnie powiada, że ewakuacja stref okupowanych może być podjęta tylko na skutek skrupulatnego wypełnienia zobowiązań, wypływających z traktatów.

Co się tyczy odszkodowań, należnych Anglji ztytułu tego traktatu to zgodnie z opinją angielską sprawa ta może być uważana za uregulowaną, odkąd Niemcy przyjęły sprawozdanie Davesa.

Inaczej przedstawia się kwestja rozbrojenia, której rozwiązanie — jak wiadomo — ciągnie się od dwóch lat głównie wskutek trudności, stawianych przez Niemcy właśnie trudności ostateczne sprawozdanie komisji kontrolnej może być sporządzone dopiero w trzecim tygodniu stycznia roku przyszłego. Stąd wynika, że wymieniona w traktacie data 10 stycznia, jako data ewakuacji strefy kolońskiej została automatycznie przeniesiona na dnie późniejsze. Gdyby sojusznicy mieli się powodować tym materjałem, którym komisja kontrolna obecnie rozporządza, to rezultaty stąd wynikłe byłyby dla Niemiec wysoce niepomyślne, albowiem materjał dotychczas zebrany uwidocznia jaskrawie cały szereg uchybień wobec postulatów traktatu.

Sprawozdanie międzysojuszniczej komisji kontrolnej stwierdza, że władze niemieckie uprawiały metodycznie obstrukcje wobec zarządzeń komisji. Kontrola stanu liczebnego poszczególnych oddziałów Reichswehry była poprostą komedją. Dokument ten stwierdza raz jeszcze istnienie niemieckiego sztabu generalnego oraz nadliczbowych korpusów, złożonych z członków organizacji militarnej. Dalej sprawozdanie stwierdza, że specjalny wydział sztabu zajmuje się lotnictwem wojskowem, aczkolwiek Niemcy w myśl przepisów traktatu mają prawo jedynie do lotnictwa cywilnego. Niemcy nie spełniły ani jednego z pięciu warunków, zawartych w nocie ambasadorów z września 1922 roku. M. in. nie przedsięwzięły zmian w organizacji swej polityki, żądanych przez Radę Ambasadorów. Generał Seckt, oraz jego podwładni liczyli na umiarkowanie, jakie Rada ambasadorów zaleciła członkom komisji kontrolującej. Obliczenia te okazały się błędnemi. Dzisiaj nawet angielscy oficerowie przekonali się o bezskuteczności ostatniej kontroli wojskowej, udaremnionej opozycją niemieckich władz wojskowych.

BANDY SOWIECKIE NA PORGANICZU.

Warszawa, 23. 12. (Pat.) W dn. 15 grudnia banda usiłowała przejść granicę od strony sowieckiej około strażnicy Jużkowce w powiecie krzemienieckim. Banda, złożona z 20 ludzi dobrze uzbrojonych ogniem karabinowym posterunku K. O. P. została odparta.

We wsi Koczaty w powiecie Lubomla zabity został w walce z policją głośny bandyta Jurko-Mszurek, członek bandy Bobicza.

Warszawa, 23. 12. (Pat.) W związku z napadem dokonanym dn. 1 bm. w powiecie słonimskim na Nazarego Zazulę w dn. 22 bm. ujęty został herszt bandycki i przekazany władzom sądowym.

STOSUNKI POLSKO-LITEWSKIE ZACIEŚNIAJĄ SIĘ

Warszawa, 24. 12. (AW). Przewodniczący Sejmu łotewskiego Westmann przybywa w dniu dzisiejszym do Warszawy. Ta wizyta będzie nosiła charakter nieoficjalny a przewodniczący Westmann będzie prywatym gościem Prezydenta Wojciechowskiego.

O potrzebach szkolnictwa zawodowego.

W roku 1924 Ministerstwo Wyznań Religijnych i O. Publicznego prowadziło nastepującą ilość państwowych szkół zawodowych

	W Kongr. i na Kres. Wschod.	W Pozn. Pomorzu i Śląsku	Małopolsce	Razem
szkół technicznych	8	5	4	17
„ rzem.-przemysł.	10	3	18	31
„ kolejowych	—	—	—	4
„ agrotechn.	4	3	1	8
„ zawod. żeńskich	14	3	6	23
„ handlowych	8	1	4	13
centrali dokształcając.	2	—	—	2
	50	15	33	98

Projektowany na rok 1925 preliminarz budżetowy przewiduje dla powyższych 98 organizacji szkolnych w pozycjach wydatków 14.780.741 zł, co stanowi zaledwie 1/21 część wydatków całego Ministerstwa Oświaty. W roku zaś 1924 wydatki na szkolnictwo zawodowe stanowiły 1/18 część całego budżetu.

Preliminowany na rok 1925 budżet szkolnictwa zawodowego **jest stanowczo za mały**. Świadczą o tem najlepiej następujące pozycje. Na inwentarz i pomoce naukowe dla wszystkich 98 organizacji preliminarz przewiduje tylko 841 000 zł. Na kapitalny remont i rozbudowę 18 uwzględnionych w pozycji budowlanej budżetu szkół przewiduje się zaledwie 1.850 000 zł. Na personalja dla tychże 98 szkół 10,348.000 zł. Pozostała reszta budżetu, to drobne kwoty preliminowane na zwrotny fundusz obrotowy dla produkujących warsztatów szkolnych, na lokale, opał, światło, stypendja, bursy itp.

Rozpatrując poszczególnie przytoczone wyżej pozycje wydatków, wypadnie zaznaczyć, że suma 841 000 zł. preliminowana na inwentarz i pomoce naukowe dla wszystkich 98 szkól, stanowi zaledwie wyekwipowanie jednej szkoły rzemieślniczo-przemysłowej, posiadającej niezbędne pracownie dla należytej nauki dla 2, najwyżej 4 zawodów rzemiosłowych. Kwota 1,850.000 zł., preliminowana na kapitalny remont i rozbudowę 18 szkól zawodowych, starczyć może co najwyżej na rozszerzenie tylko 3—4 średnich szkół technicznych i to pod warunkiem, że każda budowa byłaby rozłożona na 3 lub 4 lata. Kwota zaś 10.348.000 zł. na personalja uwzględnia tylko tę liczbę nauczycieli, jaka była zatrudniona w szkołach w r. 1924, choć wszystkie szkoły zawodowe wymagają rozwoju.

Reasumując powyższe uwagi wypadnie stwierdzić, że budżet szkolnictwa zawodowego nie pozwoli w roku 1925 na zwiększenie ilości klas w szkołach istniejących, a również na założenie szkół nowych, a poza tem wyklucza możność należytego zaopatrzenia istniejących już szkół zawodowych w niezbędne pomoce naukowe i umieszczenia ich w najskromniejszych ale właściwych pomieszczeniach. Fakty te zatamują oczywiście rozwój szkolnictwa zawodowego, którego potrzebę wszyscy wyczuwają i wysuwają.

Mimo trudności finansowych otwarcie nowych szkół w Polsce w r. 1925 jest rzeczą **absolutnie konieczną, a** to ze względu na potrzebę obrony na polu gospodarczem. Ze szkół technicznych należy otworzyć w r. 1925 przynajmniej dwie: 1) w Warszawie Państwową Szkołę Techniczną z wydziałami: samochodowym i lotniczym i 2) w Toruniu z wydziałami: chemicznym i budowlanym. Ze szkół dla majstrów należy otworzyć: szkółe dla majstrów mechaników w Łodzi, szkołę dla elektromonterów w Warszawie, oraz szkoły dla majstrów budowlanych i drogowych w Krakowie i Wilnie. Ze szkół rzemieślniczo-przemysłowych przynajmniej sześć: 1) w Grudziądzu, 2) Ostrowiu Pozn., 3) Wołkowysku 4) Lidzie, 5) Sosnowcu. Poza tem należałoby otworzyć w Baranowiczach szkołę rzemieślniczą z wydziałami maszynistów i monterów, kolejowych oraz rzemieślniczych. Ze szkół agrotechnicznych — przynajmniej cztery: 1) w Gniewie, 2) Kutnie, 3) Brześciu i 4) Tarnopolu. Ze szkół zawodowych żeńskich: 1) w Białej na pograniczu Śląska, 2) Toruniu, 3) Białymstoku i 4) Stanisławowie. Ze szkół handlowych: 1) w Pińsku, 2) Lidzie, 3) Sarnach i 4) Kaliszu. Niezależnie od powyższego w Wilnie, Kowlu, Brześciu i Łucku należy otworzyć możliwie krótkoterminowe specjalne szkoły rzemieślnicze dla zawodów prostszych, które w krótkim czasie, w rok lub najwyżej w dwa, pozwoliłyby wykształcić pewne kategorje rzemieślników tak potrzebnych na tych terenach. Pozatem w Warszawie, Łodzi, Poznaniu i Lwowie w celu podniesienia polskiego rzemiosła należy stworzyć t. zw. Centralę dokształcenia zawodowego. Ogółem zatem w r. 1925 należałoby otworzyć trzydzieści kilka nowych organizacji szkolnych.

Pociągnęłoby to za sobą, oczywiście, wydatne powiększenie budżetu szkolnictwa zawodowego. Na personalja dla tych dodatkoawych trzydziestu kilku szkół należałoby w r. 1925 otworzyć przynajmniej 120 nowych etatów nauczycielskich, co licząc po 400 zł. miesięcznie na każdy etat, stanowi dodatkowy wydatek roczny (400×12×120) około 600.000 zł.

Na zaopatrzenie nowych trzydziestu trzech organizacji szkolnych oraz na uzupełnienie inwentarza i pomocy naukowych w 98 już istniejących szkołach, należałoby preliminować dodatkowo: dla pierwszych po 120 000 zł. na szkołę, dla drugich przeciętnie po 40.000 zł. na szkołę. Stanowiłoby to razem: 120.000×33+40.000×98=3.960.000+3.920.000=7.880.000 zł.

Dodatek więc na same tylko personalja i pomoce naukowe wyniósłby 600.000+7.880.000=8.480.000. Po uwzględnieniu zaś zwiększonych wydatków na opał, światło, wynajęcie lokali, stypendja dla uczniów, sumę tę należy podnieść do 10 miljonów złotych.

Niezależnie od powyższego należałoby uwzględnić dodatkowy kredyt na zaspokojenie chociażby najprymitywniejszych potrzeb budowlanych tych szkół w roku 1925. W dziedzinie tej potrzeby szkolnictwa zawodowego są szczególnie poważne. Przeszło bowiem 20 najpoważniejszych organizacji szkolnych wymaga **natychmiastowej** rozbudowy, których **ani na jeden rok dłużej** odkładać nie można. Licząc, że rozbudowa tych szkół winna być rozłożona również na 3 do 4 lat wypadłoby dodatkowo preliminować na każdą rozbudowę po 400.000 zł. Na wszystkie więc budowle potrzebaby było preliminować około 8 miljonów złotych. **Wszystkie zatem dodatkowe potrzeby szkolnictwa zawodowego wyniosłyby sumę 18 miljonów zł.**, czyli że zamiast podanych w preliminarzu 14 miljonów w r. 1925 **należy mieć faktycznie 32 miljony.**

Stanowiłoby to tylko o jeden miljon więcej ponad to, co Państwo w r. 1925 preliminowało na średnie szkoły ogólnokształcące. Konieczność co najmniej jednakowego traktowania w budżetach obu rodzajów oświaty, wynika nietylko ze względów gospodarczych, lecz i w szczególności ze względów obrony Państwa. Na całym świecie widać obecnie wyścig dla osiągnięcia supremacji gospodarczej. Celują w tem w szczególności Niemcy, czyniący olbrzymie kroki na polu wykształcenia zawodowego. We Francji budżet szkolny zawod. na r. 1925 został podwojony w stosunku do r. 1924. Armja zaś wszelkich krajów również opierać się musi na zawodowcach. Konieczność należytego budżetowania szkolnictwa zawodowego wynika z poczucia słuszności, mianowicie przez wzgląd na to, że szkolnictwo zawodowe działalnością swoją winno objąć wszystkie warstwy narodu oraz uwzględniać całokształt życia gospodarczego w Państwie. Należy pozatem podkreślić i tę okoliczność, że szkolnictwo zawodowe na ziemiach polskich nie było zupełnie rozwijane przez b. rządy zaborcze najzupełniej świadomie i celowo.

Wyrównanie luk w obecnej chwili jest bezwzględna koniecznością. Dlatego też na wypadek, gdyby Skarb Państwa w chwili obecnej nie mógł pokryć tego wydatku, miarodajne i odpowiedzialne czynniki sejmowe i rządowe powinny uczynić wszystko, ażeby powyższy budżet szkolnictwa zawodwego jaknajrychlej został uzupełniony i wyrównany. —

A S.

Listy z Czechosłowacji.

W grudniu 1924 r.

Zwyklismy uważać Czechosłowację za kraj, w którym dzięki wybitnie realnemu sposobowi patrzenia na świat, dzięki umiejętnym kompromisom, dzięki podaniu sobie rąk przez wszystkie stronnictwa czeskie, dzieje się dobrze, powiedzmy możliwie dobrze.

I istotnie my, którzy przeszliśmy przez katastrofę finansową, przez wojny, przez rozczarowania polityczne, a przechodzimy przez walki wewnętrzne, przez przesilenie ekonomiczne, przez odśrodkowe tendencje części naszych „współobywateli“ dziwić się musimy, że ten kraj etnograficznie znacznie gorzej sytuowany niż my, zdołał uchronić się od tego wszystkiego i cieszy się o wiele większem poważaniem i o wiele lepszą marką od nas. To też słusznie podaje się nieraz Czechosłowację za wzór.

Z drugiej jednak strony nie trzeba sobie wyobrażać, że ten wzór nie posiada cieni. Owszem, cienie, a nawet chmury są i bodaj, czy nie większe dzisiaj niż kiedykolwiek. Abstrahując od kwestj narodowościowej umiejętnie tuszowanej i usuwanej na podrzędny plan bez przeszkód (w Czechosłowacji niema takiej ilości żydów, a przez to niema i leadera mniejszości) główną troską czeskich mężów stanu są dziś sprawy ekonomiczno - handlowe, które poczynają rozsadzać koalicję rządową utworzoną przez pięć stronnictw czeskich przed sześciu laty.

Tym klinem rozsadzającym jest sprawa wprowadzenia ceł agrarnych. Cła te istniały w Austrji przed wojną, podczas niej zostały jednak zniesione, zaś w konsekwencji utrzymały się i w Czechosłowacji. Agrarjusze czescy jednak wstępując do koalicji zażądali zupełnie jednakowego traktowania rolnictwa i przemysłu co oznacza: wprowadzenie ceł agrarnych i to zostało im przyrzeczone; odroczono tylko chwilę wykonania. Obecnie jednak agrarjusze coraz energiczniej nastawać poczynają na wprowadzenie w życie dawno zawartej umowy. Z drugiej jednak strony stronnictwa, opierające się na warstwach robotniczych i mieszczańskich, żądaniu temu obecnie nie chcą zadośćuczynić. Rzeczywiście nie jest to pora na zmianę polityki gospodarczej. W ostatnim czasie nastąpił tu stosunkowo znaczny wzrost cen na niemal wszystkie artykuły. Wzrost ten zaczął się jednak od podrożenia żywności, a w szczególności zboża. Gdy w lipcu wskaźnik drożyźniany na roślinne środki spożywcze wynosił 810, podniósł się on w przeciągu dwu miesięcy (we wrześniu) do 965, tj. o 20 procent. Widzimy, że wzrosły one w cenie nie mniej niż u nas i że o ile chodzi o ostatnie miesiące — my nie stanowimy pod tym względem wyjątku i idziemy równo niemal z całym światem (niestety). W konsekwencji poszły wgórę środki spożywcze zwierzęce i aczkolwiek na razie w mniejszym stopniu — wyroby przemysłowe i inne towary.

Nic więc dziwnego, że agrarjusze czescy napotkali na silny opór. Powstał spór, który nie doprowadził na razie do rozbicia koalicji, zbyt korzystnej dla państwa, ale wprowadził w nią silne rozdźwięki. Agrarjusze przeszli do biernego oporu; mianowicie oświadczyli, że nie będą głosować za ratyfikacją układów handlowych, które są dziś dla Czechosłowacji niezmiernie ważne. Sytuacja była dla rządu tem gorsza, że właśnie zawarł kilka traktatów, których wskutek tego nie można było wprowadzić w życie. Rządowi udało się ostatecznie przeprowadzić ratyfikację traktatu z Włochami po wielu trudnościach, był to jednak tryumf zupełnie odosobniony. Agrarjusze domagają się „jednakowego traktowania przemysłu i rolnictwa“ coraz energiczniej i w konsekwencji zapowiada się walka coraz ostrzejsza.

Do pewnego stopnia sprawa ta dotyczy i nas, jesteśmy bowiem w trakcie pertraktacji dotyczących układu handlowego z Czechosłowacją, która — rzecz dziwna — ze swoimi sąsiadami traktatów takich przeważnie nie pozawierała. Dlatego stosunki wewnętrzne w niej ważne są dla nas podwójnie i powinniśmy je śledzić bardzo bacznie.

St. Bryła.

H. RIDER HAGGARD.

ONA.

Powieść. (82

DZIEJE NIEZWYKŁEJ WYPRAWY.

(Tłum. Bron. Falk).

— Litościwe nieba! — rzekłem do Leona — chyba nie przyjdzie nam spinać się po tej ścianie.

Wzruszył ramionami, zbity z tropu i nie pewny, co o tem sądzić, podczas gdy Aeysha, bez dalszego ociągania, zaczęła wspinać się po stromej skale. Nic pozostawało nam nic innego, jak iść za nią. Z prawdziwym podziwem obserwowaliśmy swobodę i grację, z jaką przeskakiwała ze skały na skałę i wspinała się na kamienne progi. Pięcie się w górę nie było jednak tak uciążliwem, ja się zdawało, chociaż trafiały się miejsca bardzo trudne, gdzie lepiej było mi oglądać się za siebie — gdyż stoki nie były tu jeszcze tak strome, jak wyżej. W ten sposób bez wielkiego trudu — jedyną przeszkodą był nam właściwie niesiony przez Joba ciężar — wspięliśmy się na wysokość około pięćdziesięciu stóp ponad miejsce naszego ostatniego postoju, skręcając przytem z jakie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu kroków na lewo, szliśmy bowiem, jak kraby bokiem. W pewnym momencie dotarliśmy do półki skalnej, zrazu wąskiej, rozszerzającej się jednak w miarę dalszego pochodu i pogłębiającej równocześnie, jak kielich kwiatu. Idąc nią, wstępowaliśmy stopniowo jakby w koryto, czy szczelinę skalną, która pogłębiała się z każdym krokiem, przypominając wreszcie do złudzenia tunel w Devonshire. Osłaniała nas zupełnie przed wzrokiem obserwujących, o ile ktoś rzeczywiście nas obserwował. Tunel ten (który wyglądał, jak naturalny) ciągnął się jakie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków i kończył nagle w jaskini również naturalnej, która odchodziła od niego pod kątem prostym. Jestem pewny, że jaskinia ta była naturalna, a nie sztuczną, wnosząc z jej nieregularnego i krętego przebiegu który budził podejrzenie, że powstała przy jakimś strasznym wybuchu gazów, zdążających po linji najmniejszego oporu. Natomiast wszystkie inne pieczary, wykute przez dawnych mieszkańców Kôr, miały kształty nadzwyczaj regularne i symetryczne. U wejścia do tej jaskini Ayesha zatrzymała się i kazała zaświecić obie lampy, co uczyniłem, oddając jej jedną, a drugą zatrzymując przy sobie. Z tą chwilą objęła przewodnictwo i weszła do jaskini, stąpając z ogromną ostrożnością z powodu wielkich nierówności gruntu, wyścielonego kamieniami, jak łożysko rzeki i podziurawionego tu i owdzie przez głębokie szczeliny, w których łatwo było złamać nogę.

Przebyliśmy w dwadzieścia minut lub więcej pieczarę, długą — o ile mogłem wnioskować, rzecz trudna ze względu na liczne odgałęzienia i zakręty — na jakie ćwierć mili. Na drugim końcu jej zatrzymaliśmy się. Próbowałem właśnie przeniknąć otaczające nas ciemności, kiedy silny prąd powietrza zgasił nam obie lampy.

Aeysha przywołała nas okrzykiem; przyczołgaliśmy się do niej — wyprzedzała nas bowiem o kilka kroków — i tu przedstawił się oczom naszym widok, który budził grozę swym ponurym majestatem. Przed nami znajdowała się w czarnej epoce potężna rozpadlina, o poszarpanych ostrych i nierównych ścianach, rozdartych w dawnych czasach przez jakiś straszliwy kataklizm jakby przez wielokrotne uderzenie piorunu. Rozpadlina ta, ograniczona przez stromą ścianę od naszej strony i prawdopodobnie, chociaż nie widzieliśmy tego i ze strony przeciwnej, mogła być bardzo długa, ale sądząc po panujących w niej ciemnościach, niezbyt szeroka. Kształtu jej trudno się było dopatrzeć, jak również i kierunku, z tego prostego powodu, że miejsce, gdzieśmy stali, oddalonem było tak bardzo od wierzchołka skalistej ściany — co najmniej tysiąc pięćset do dwóch tysięcy stóp — że tylko słabe promienie światła przedzierały się do nas od góry. Podziemny korytarz, którym posuwaliśmy się naprzód, kończył się bardzo ciekawym cyplem skalnym który wybiegał ponad ziejącą przepaść na przestrzeni jakich pięćdziesięciu yardów, zwężając się ku końcowi i przypominając do złudzenia ostrogę koguta. Ta ogromna ostroga łączyła się z macierzystą opoką jedynie u podstawy, rzecz prosta, również ogromnych rozmiarów, jak ostroga koguta łączy się z jego łapą. Zresztą nie miała żadnego oparcia.

— Tędy droga! — rzekła Aeysha. — Strzeżcie się zawrotu głowy i podmuchów wiatru, który was strącić może w przepaść iście bezdenną.

I nie dając nam czasu do namysłu, zaczęła wchodzić na cypel, pozostawiając nas w dalszym pochodzie własnym siłom. Postępowałem za nią, za mną szedł Job, ciągnąć z trudem swoją deskę, podczas gdy Leon tworzył straż tylną. Z podziwem patrzałem, jak ta nieustraszona kobieta posuwa się bez najmniejszej obawy przez to niebezpieczne miejsce. Co do mnie, zaledwie zrobiłem kilka kroków, kiedy prąd powietrza i myśl o strasznych następstwach ewentualnego pośliźnięcia się, zmusiła mnie do opuszczenia się na ręce i kolana i do odbycia dalszej drogi na czworakach. Dwaj moji towarzysze uczynili tak samo.

Watykańska Wystawa Misjonarska.

Najważniejszą inicjatywą, największą i najciekawszą atrakcją najbliższego jubileuszu, pomyślaną i faworyzowaną, którą Papież otworzył osobiście ubiegłej niedzieli, stanowi Wystawa Misjonarska.

Pawilon wystawy powstały w części centralnej i najpiękniejszej ogrodów watykańskich, oraz wdwóch przyległych podwórzach Pigna i Corazza i są podzielone według porządku geograficznego. W każdym pawilonie jest wystawione to wszystko, co może rzucić światło na życie duchowe i materjalne misjonarzy w danym kraju. Ażeby zwiedzający mógł dokładnie zdać sobie sprawę ze stopnia i rodzaju cywilizacji w każdym kraju misyjnym, urządzoną została jakby druga wystawa specjalna, która służy za tło do pierwszej, a która zawiera reprodukcje miejsca działania misjonarzy. I tak zwiedzający zobaczy w centrum każdego pawilonu dokumenty i zabytki, odnoszące się do działalności misjonarskiej, a w salach naokoło będzie podziwiał ciekawą kolekcję etnograficzna, która uprzystępni mu znajomość sprzętów, broni, środków transportu, wyrobów ręcznych mieszkań, rzemiosł i zawodów, religji pierwotnej, obyczajów, jednem słowem całej cywilizacji danego ludu. Jeden z najuczeńszych i najbieglejszych specjalistów, jakimi Kościół rozporządza w dziedzinie etnologji, O. Wilhelm Schmidt, został zamianowany dyrektorem tej światowej wystawy etnograficznej, która, jak wspomnieliśmy, zamyka na kształt ram obraz każdej odrębnej krajowej wystawy.

Ale to połączenie określeń geograficznych i etnograficznych nie zawsze zwyciężyło: zobaczmy, jak w niektórych sekcjach jakość eksponatów wytworzyła osobne autonomiczne oddziały, bardzo ważne jak: Bibljoteka Historja misji, Statystyka generalna i Medycyna.

PRZEGLĄD WYSTAWY.

Zróbmy zatem szybki przegląd pawilonów, tem bardziej, że możemy to uczynić już przed inauguracją, która się odbyła w niedzielę dnia 21-go bm.

Wizytę zaczniemy od długiego pawilonu Zitella, z boku wielkiego kwadratu zasadzonego kwiatami z ogrodu Watykańskiego, pełnego wielkich waz, opasanego kwiatami, przemienionego w szeroką szachownicę grzęd, z których jedna tworzy zapomocą swych łodyg i kwiatów słowa: „Pio XI — Anno Santo 1925".

Jest tutaj wystawa misji z Chin, Mongolji, Mandżurji, Korei, urządzona przez zakony: Franciszkanów, Salezjanów, Jezuitów, Kapucynów Lazarystów etc. Przy wejściu witają nas, jak dwa warczące Minosy, dwa potworne lwy z bronzu posłane przez prałata Costantini'ego, delegata apostolskiego Chin; tego rodzaju nieprzyjemne twarze zwykły tam stać na powitanie u wejścia do świątyń i pałaców.

Oto dwie skały w miniaturze; jedna niższa, na którą odbywa się pielgrzymka chrześcijańska do przybytku Najśw. Panny Marji w Shantung (Północne Chiny); druga wyższa ze sławną buddyjską pielgrzymką również do Shantung.

Skręcając na prawo, wchodzimy do pawilonów, położonych tuż za muzeum Via Zitella w zaleslonej części ogrodu. Punkt wyjścia do orjentacji jest cągle taki sam, jak to już zaznaczyliśmy. W środku wystawa o charakterze religijnym: książki, malowidła, przedstawiające życie nowych chrześcijan, uroczystości duchowne, szpitale, szkoły, zakłady dla sierot, jednem słowem wszystko, co może dać pojęcie o postępie, dokonanym przez misjn. Naokoło przedmioty etnograficzne, które oddają miejsce, w którem pracują misje (modele łodzi, sprzętów, reprodukcje osad i chałup, instrumenty, obicia ścienne, zwierzęta itd.)

Pierwszy pawilon zajmują tu: Japonja, Filipiny, Indochiny; drugi: Melanezja, Polinezja, Australja, Nowa Gwinea. Dwa następne pawilony reprezentują Afrykę wraz z wyspami; znać tutaj cywilizację o wiele dzikszą i pierwotniejszą od azjatyckiej, choć zadziwiającą nas z drugiej strony znacznym rozwojem sztuk pieknych, zwłaszcza rzeźby, w niektórych okolicach jak Kongo i Benin. Ale przeważnie wystawy etnograficzne odkrywają charakter typowo rolniczy i pasterski ludów afrykańskich, wśród których skutecznie apostołują Ojcowie Czarni ze Zgromadzenia Ducha Świętego. Kapucyni ze słynnym kardynałem Massaia oraz Benedyktyni.

Kontynuujemy naszą wizytę, wychodząc z ogrodu i wchodząc przez przedsionek muzealny do podwórza Pigna. Mimochodem, w przejściu, można zwiedzić pawilon Sekcji lekarskiej, umieszczony w niewielkim środkowem podwórzu Corazza. Celem tej wystawy jest pokazanie, jak cenna może być medycyna, jako skuteczna pomoc w apostołowaniu (choroby nagminne krajów misyjnych, ich przyczyny, środki obrony, pielęgnowanie). Lekarze kolonjalni, lekarze marynarki wojskowej i handlowej znajdą w tym oddziele niezwykle cenny materjał do studjów. O. Augustyn Gemelli, doktor medecyny, rektor Uniwersytetu katolickiego w Medjolanie przewodniczy tej sekcji. W kierownictwie pomogają mu prof. Havet z uniwersytetu w Louvain, prof. Franchini z uniwersyetu w Bolonji, prof. Dűreck z uniwersytetu w Monachjum i ks. dr. Totsuka z uniwersytetu w Tokio.

Także i samo podwórze Pigna stanowi idealne i godne tło dla pomieszczenia wystawy; szerokie pełne światła, ozdobione wielkiemi palmami, otwiera widok na monumentalną kolumnę pamiątkową Soboru z roku 1870, na około której rozpina się olbrzymi prostokąt pawilonów.

Pierwszy pawilon na prawo jest poświęcony Ziemi Świętej, której widać wielką reprodukcję plastyczną w cemencie na środku sali. Naokoło podziwiamy reprodukcje kościołów i przybytków, których opieka została powierzona Franciszkanom. Wystawa ta zapomocą faktów i dokumentów stanowić będzie najjaskrawsze zbicie pewnych punktów widzenia angielskiego ministra spraw zagranicznych z czasów Mac Donalda albo gubernatora żydowskiego Sir Samuela, według których pragnie się zażydzić Ziemię Świętą, która była kolyską religji Chrystusa.

Drugi pawilon obejmuje Historję misji od czasów apostolskich aż do pontyfikatu Piusa XI Celem owej wystawy jest dowiedzenie, że religja nasza jest katolicka, t. zn. uniwersalną nietylko w sensie geograficznym, ale także i historycznym, ponieważ praca ewangeliczna dokonywała się nieprzerwanie od czasów apostolskich aż do naszych dni.

Pawilon trzeci poświecono Męczennikom i Świętym Misjonarzom, to jest tym którzy krwią swoją oraz świętością swojego życia użyźnili i uświęcili szlachetne dzieło katolickich misji. Widnieją tu ich portrety pamiątki osobiste.

Czwarty pawilon zajmuje specjalna wystawa etnologji; ma ona na celu dać ogólne pojęcie o rozwoju cywilizacji oraz uławić zwiedzającym orjentację w tej wielkiej różnorodności ras i miejsc, w których dokonywuje się dzieło ewangelizacyjne i cywilizacyjne misji. Osobny oddział przedstawia nam cywilizację przedhistoryczną wraz z jej stosunkiem do antropologji i lingwistyki z oryginalnymi okazami, ad hoc przygotowanemi przez specjalistów w tej dziedzinie. Ta wystawa etnologiczna pragnie także uwypuklić antytezę, jaka zachodzi między rozwojem kultury religijnej, etycznej i społecznej, a kultury materjalnej i technicznej.

W pawilonie piątym, poświęconym Ameryce Północnej, budza żywy podziw rzeźby Ferdynanda Petricha, ucznia Thorwaldsena, przewiezione z Muzeum Lateraneńskiego i zawierające cztery wielkie statuy, piętności popiersi i cztery płaskorzeźby, wykonane na oryginale indjańskim i stąd wielkiej wartości artystycznej i epokowej.

Przez szósty pawilon (Ameryka Środkowa i wyspy Antylskie) przechodzi się do siódmego, zawierającego wystawę „Propaganda Fide" Rozkrzewiania Wiary); tutaj znajduje się specjalne przejście, zarezerwowane dla Ojca Świętego, które łączy się bezpośrednio z nowem skrzydłem muzeów watykańskich.

Jesteśmy w ósmym pawilonie, w którym prałat Giovanni Mercati, prefekt Bibljoteki Watykańskiej, zgromadził z rzadkim gustem i zapałem całą literaturę misji z dwoma pokojami, przeznaczonymi dla pracujących.

Nastepne pawilony: dziewiąty (Ameryka Południowa z licznemi misjami salezjańskiemi), dziesiąta (Syrja, Palestyna i Persja), jedenasty i dwunasty (Indje), trzynasty (Indochiny), bardzo ciekawy ze względu na cudowne wyroby z perłowej masy, zwłaszcza dewocjonały, wykonane przez tamtejszych tubylców.

Komisja międzynarodowa, której przewodniczy uczony Jezuita Bernard Ahrens, urządza obecnie w Muzeum Chiaramonti w Watykanie Wystawę Statystyczną wszystkich Zakonów i Kongregacji, które pracują w misjach z całym aparatem pomocniczym ich akcji cywilizacyjnej (szkoły, uniwersytety stacje meteorologiczne etc.). W niej znajdą zwiedzający dużo wiadomości dotychczas nieznanych i szereg niespodzianek, miłych sercu katolika i umysłowi każdego człowieka cywilizowanego.

W pozostałej, wolnej części wspaniałego podwórza Pigna powstaje wieś z namiotami kirgizkiemi, wystawiona przez tubylców, którzy jednakowoż nie będą włączeni we wystawę, gdyż byłby to sposób nieodpowiadający godności ludzkiej.

Kiedy zmęczeni chodzeniem i oglądaniem tylu rzeczy zechcemy odpocząć i posilić się w owem tak pieknem i niepospolitem miejscu, znajdziemy między dwoma pawilonami rozkoszną Viale della Zitella rodzaj rotundy, służącej za herbaciarnię, obsługiwaną przez chrześcijańskich Chińczyków, oraz za restaurację.

Przegląd prasy.

Licytacja haseł czy oparcie na programie? Demagogia czy praca realna? Rzucanie kilimkiem czy świadoma celu praca? — Tu obszarnik tam chłop! Tu pan Jerzy Turnau tam Witos! Przysłuchajmy się jakie pierwszy zbiera pokłosie z 47 kongresu P. S. L. w Warszawie.

P. Witos dzisiejszy — a p. Witos z czasów czteroprzymiotnikowych wyborów do parlamentu austrjackiego lub choćby z czasów republiki lubelskiej — to dwie odmienne osobistości Ewolucję poglądów i zasad, jaką osiąga się w ciągu kilku pokoleń, p. Witos osiągnął w ciągu lat kilkunastu. Podobno czyta bardzo wiele, kształci się ustawicznie; a że jest niezwykle inteligentny, nic dziwnego że rozjaśniło mu się w głowie i z radykała stał się oredownikiem ładu i praworządności, jak to wyraźnie wynika z wygłoszonych na 4-tym kongresie PSL programów ordynacji wyborczej, organizacji władz państwowych itd.

Ale p. Witos jest także przezorny. Wie on, że póty „Piasta", póki Witosa, a póty Witosa, póki powiewa się chorągwią z napisem: maximum obszaru, rozdanie ziemi, zmiana feudalnego systemu — czytaj: zanik obszarników. Wszedzie praworządność i sprawiedliwość — tylko nie na tem polu — nie Wywłaszczenie bez odszkodowania, bo przecież tak wygląda zabranie ziemi wzamian za amortyzowane w 30 latach papiery!

Oczywista, że po tych cierpkich określeniach kwalifikacyj Witosa maluje p. Turnau także prezyd. ministrów Grabskiemu diabła na ścianie. A więc co umieją raczej czego nie umieją ziemianie.

Więc w takiem położeniu czy można brać za złe ziemianom, że zaniechali wszelkich środków, zdążających do zwiększenia plonów? Czy można ich winić że nie zdołają dostarczyć żeru inspektorom podatkowym? Bo myli się p. Grabski, sadząc, że gdy ni będzie niezmiarki, to będzie z czego wyduszać danine Nie mamy w Polsce gleb dziewiczych któreby dawały plony bez nawozów sztucznych, maszyn i przy ekstensywnej gospodarce. I może dlatego p. Grabski przewiduje danine w naturze, w ziemi Ale co się stanie z wytwórczościa i samowystarczalnością? Dziś jeszcze ohroty giełdowe, dokonywane zbożem dworskiem, regulują cene amerykańskiej mąki Ale jaka będzie ta cena, gdy dworskiego zboża nie będzie? Czyż kiedykolwiek ktokolwiek wziął mniej, gdy mógł dostać więcej? A gdy mąka droga, czy to nie stwarza ogólnej drożyzny?

Tak będzie w czasie pokoju. Lecz strach pomyśleć o czasie wojny! Czem wtedy żywić się bedzie wojsko i ludność, gdy nie będzie mąki amerykańskiej, a zboża „dworskiego" braknie?

Sukursem pon'ekąd spieszy w tej samej sprawie „Gaz. Warszawska", która przypomina zabagnione sprawy likwidacji majątków niemieckich. Warto zanotować, że 50—70 proc. ziemi, będącej w reku niem. to nie lada kęs, który umyka się z pod ust P. S. L.

Sprawę likwidacji stanu posiadania niemieckiego należy uważać za przegrana: podciął ją Askenazy na gruncie międzynarodowym, a w kraju, poznański i warszawski urzędy likwidacyjne, które przez kilka lat nietylko nie przeprowadzały wcale sprzedaży przymusowych, ale nie przygotowały wstępnych prac, nie zebrały danych statystycznych i w przybliżeniu nawet nie opracowały planu restytucji polskiej własności ziemskiej. Podobno ministerium spr. zagr. monitowało oba te urzędy, aby nie likwidowały posiadłości niemieckich, bo to „sprawia źle wrażenie na forum międzynarodowem". Podobno listy takie znajdują się w archiwach urzedów likwidacyjnych...

Dalszym ciosem były: umowa śląska, stawiająca prawo likwidowania w tej dzielnicy własności niemieckich w warunkach wprost anulujących tę likwidacje i umowa wiedeńska, która zmniejszyła nasze prawa w rzeczonej dzielnicy do dwóch trzecich tego, co nam istotnie przysługiwało Przynajmniej mowy niema na razie o usunięciu choćby jednego posiadacza dóbr rycerskich w Wielkopolsce albo na Pomorzu.

Ostatnio rozeszła się pogłoska i to ze sfer bardzo miarodajnych, że istnieje w Warszawie tendencja zupełnego zrzeczenia się likwidacji posiadłości niemieckiej. Byłoby bardzo pożądane, aby powołane organa wyjaśniły, ile jest prawdy w tych wieściach, do najwyższego stopnia niepokojących opinję. Polska powinna pamiętać, że do dziś dnia na Pomorzu i Wielkopolsce znajduje się z górą 50 proc. a na Śląsku około 70 proc. ziemi w rękach niemieckich.

1914 — 1924.

Kształtowanie się kosztów żywności w czasach przedwojennych a obecnych.

Z pięciu największych miast w Polsce na pierwsze miejsce pod względem drożyzny wysuwa się Warszawa, Wilno i okr. administracyjny wileński.

Wskaźniki kosztów żywności obliczone przez Wiadomości Statystyczne za miesiąc październik br. wykazują dla Wilna wskaźnik nienormalnie wysoki, w stosunku do przedwojennego gdyż wyraża się on cyfrą 199'8 (rok 1914 = 100).

Największą zatem drożyznę w tym miesiacu mieliśmy w **Warszawie i w Wilnie**, gdyż dosięgała ona nieomal zawrotnej cyfry **200. Najmniejszą drożyzną** może się pochlubić **Lwów**, gdyż wskaźnik dla tego miasta opiewa zeledwie na **118.5. Tak** wielka przepaść w kosztach żywności tych dwóch kresowych miast — jakimi jest Wilno i Lwów — jest zupełnie niezrozumiałą i nienormalną.

Wprost wierzyć się nie chce, ażeby ceny artykułów żywnościowych w obrębie jednego i tego samego państwa dla różnych ośrodków miejskich kształtowały się z tak daleko idącą dowolnością. Widać, że pośrednictwo w Polsce oraz towarowy ruch na kolei przedstawia jeszcze wiele do życzenia, skoro nie oddziałuje wcale na niwelację cen wspomnianych artykułów. Galicja może się pochlubić najniższemi cenami kosztów żywności, bowiem i miasto Kraków posiada niewiele wyższy od miasta Lwowa wskaźnik, wynosi on 123.6

Tłumaczyć to należy prawdopodobnie lepszemi urodzajami tej dzielnicy, oraz bliskością takich rezerwuarów produktów rolnych jak Rumunja i Węgry.

Przed wojną tego rodzaju odchylenia w cenach artykułów żywnościowych w obrębie jednego państwa byłyby wprost niemożliwe.

Wysokimi wskaźnikami kosztów żywności odznaczają się miasta Warszawa, gdzie wskaźnik wynosi 179.9 oraz miasto Łódź — 175. Wielkopolska pod względem drożyzny artykułów żywnościowych stoi pośrodku. Dla miasta Poznania wskaźnik opiewa cyfrę 170.9, dla województwa poznańskiego 138.6, pomorskiego 147.3 Przy zestawieniu tych trzech ostatnich cyfr uderza, że wskaźnik żywnościowy dla Poznania i woj. poznańskiego jest nieco niższy od wskaźnika dla woj. pomorskiego — w stosunku do czasów przedwojennych. Na podstawie tych danych można uważać wieksze miasta na Pomorzu jak: **Grudziądz, Toruń** dorównujące pod względem drożyzny Poznaniowi w dziedzinie artykułów żywnościowych. Niektóre nawet artykuły rolnicze jak żyto i ziemniaki odznaczają się w województwie pomorskiem cenami nieco wyższemi w stosunku do tychże w woj. poznańskiem. Przeciętna cena na ziemniaki wynosi w województwie pomorskiem za 100 kg. 4 zł. 20 groszy, w woj. pomorskiem 4 zł. 22 gr. Przeciętna cena dla żyta w woj. poznańskiem 21 zł. 40 gr., w woj. pomorskiem 21 zł. 90 groszy. Są to minimalne różnice, jakie się ujawniają przy tych dwóch podstawowych artykułach dla życia, jednakże już te minimalne różnice w hurcie doprowadzają do znaczniejszych różnic w drobnej sprzedaży.

Jeżeli porównamy koszta żywności w poszczególnych większych miastach z czasów przedwojennych — ze stycznia 1914 — przyczem poziom kosztów miasta Warszawy przyjmiemy za 100, okaże się stosunek wprost przeciwny a mianowicie koszty **żywności w Wilnie** i na Kresach Wschodnich okażą się **najniższe**, a koszty żywności w **Galicji najwyższe**.

Dla Krakowa w styczniu **1914** w stosunku do Warszawy przyjętej za **100** wskaźnik wynosi **123.3**, dla **Lwowa 130**. A więc poziom kosztów żywności w miastach w b. dzielnicy austrjackiej przed wojną w stosunku do Warszawy był od 20 — 30 proc. wyższy. Natomiast poziom kosztów żywności w województwach wschodnich był znowu w stosunku do Warszawy o 15 — 20 proc. niższy, a w stosunku do kosztów w Krakowie o jakie 40 — 50 proc. niższy. Obecnie jak już wspominaliśmy, jest odwrotnie, co dla ludności Kresów Wschodnich, przyzwyczajonej przed wojną do niskich cen i niskich zarobków, musi być specjalnie uciążliwe.

Kto wie nawet czy niewspółmierność zarobków w stosunku do drożyzny artykułów pierwszej potrzeby na kresach nie przyczyniła się ewalnie do szerzenia sławnego już obecnie na tej rubieży bandytyzmu.

Ciekawie układały się powyższe stosunki w województwach zachodnich. Województwo pomorskie posiadało niższe ceny na artykuły żywnościowe w stosunku do Warszawy przyjętej za 100, do woj. poznańskiego, kiedy dla woj. poznańskiego obliczała Wiadomości Statystyczne wskaźnik kosztów żywności na 110.7, to dla Pomorza cyfra ta jest znacznie mniejszą, gdyż wynosi zaledwie 99.9. A więc różnica przekracza nieco 10 proc

Ciekawie kształtowały się poziomy kosztów żywności **w poszczególnych miastach Wielkopolski w styczniu 1914 roku**, w stosunku do Warszawy przyjętej za 100. Uwidacznia to poniżej przytoczona tabelka:

Bydgoszcz	119,4
Gniezno	97
Grudziądz	102,9
Inowrocław	96,9
Poznań	110,1
Toruń	97,3

Oczywiście cyfry podane w tabelce należy brać z dużą dozą ostrożności. Mimo wszystko miasto Bydgoszcz i Poznań musiały być przed wojną w stosunku do innych miast wielkopolskich najdroższemi, natomiast miasta pomorskie odznaczały się niższemi poziomami kosztów żywności. Z pośród miast pomorskich jak widzimy z tabelki. — Grudziądz był nieco **droższy od Torunią.**

Kiedy przed wojną poziom kosztów poszczególnych miast b. dzielnicy pruskiej dorównywał, a nawet w niektórych wypadkach przewyższał poziom kosztów miasta Warszawy, to obecnie **w roku 1924** drożyzna przynajmniej odnośnie do kosztów żywności jest 14 — 20 procent niższa od drożyzny w Warszawie. Następująca tabelka to uwidacznia:

Bydgoszcz	81,8
Gniezno	87,1
Grudziądz	82,9
Inowrocław	83,4
Poznań	86,2
Toruń	80,6

Jakie niespodzianki przyniesie nam Nowy 1925 Rok trudno przewidzieć. Jednakże mimo wszystko już teraz można mieć uzasadnioną nadzieję, że **Nowy Rok odznaczać się będzie znacznie większa stałością i jednolitością cen kosztów żywności w stosunku do roku ubiegłego.**

J. Kruszewski.

Świętokradztwo w kościele Ojców Karmelitów w Krakowie

Pierwsze wrażenie. — Całe miasto poruszone. — Wota cudownego obrazu Najświętszej Panny Marji skradzione. — Przypuszczenia i wnioski. — Którędy dostał się złodziej?

Kraków, 24. 12. (AW. Wczoraj w godzinach wieczornych, zaalarmowane zostało miasto niesłychaną wiadomością o kradzieży wotów z kaplicy mieszczącej obraz cudowny Najświętszej Panny Marji w kościele Ojców Karmelitów na Piasku.

Jak stwierdzono, zginęło 12 sznurów pereł, kosztowna złota bransoleta, łańcuch drogocenny, olbrzymie sznury bursztynowych korali. Na razie nie ustalono, kiedy popełniono kradzież.

Prawdopodobnie złodziej dostał się do kaplicy w godzinach popołudniowych i tam ukrywszy się, czekał stosownej pory.

Wieczorem dopiero zakonna służba zauważyła zniknięcie wotów i natychmiast zawiadomiła o świętokradztwie ekspozyturę śledczą.

Suma skradzionych przedmiotów nie jest narazie ustalona.

(Zrozumiałe jest wzburzenie społeczeństwa krakowskiego na wieść o ohydnem świętokradztwie. Obraz N. P. Marji na Piasku, słynący cudami, otoczony był głębokiemi uczuciami wszystkich z miasta i kraju, to też zbrodniczy czyn ugodził w najgłębsze pokłady religijnego społeczeństwa. Red.)

Ociemniali wojacy dziękują gościnnemu Grudziądzowi.

PODZIĘKOWANIE.

Dzień 7 grudnia rb., dzień naszego 6. zjazdu, połączonego z obchodem Gwiazdkowym, zapisaliśmy złotemi literami w historji Związku naszego, a w sercach wszystkich ociemniałych uczestników tego zjazdu serdeczność i gościnność obywatelstwa miasta Grudziądza i okolicy, wdzięcznem echem odbijać się będą przez długie, długie lata. Zjazdy nasze doroczne nie mają jedynie na celu rozweselenia ociemniałego i dodania mu otuchy do cierpliwego znoszenia wielkiego kalectwa, maja one głębsze podłoże. Inwalida cciemniały ma po każdym zjeździe odnieść wrażenie, że Władze i cały Naród stoją na straży jego interesów a gdy nabędzie tego przeświadczenia natnczas wróci zadowolony pod strzechę rodzinną i krzewić będzie miedzy zwątpiałymi i w obozie przewrotowym ideę zdrową prowadzącą do chwały Bożej i wielkości ukochanej Ojczyzny naszej.

— Zjazd tegoroczny dokonał dzieła tego w zupełności. Duchowieństwo grudziądzkie zadokumentowało przez odprawienie solennej mszy św. oraz wygłoszenie wzniosłego kazania, jako też przez udział w obradach naszych, że chodzi mu o duszę i polepszenie doli ociemniałego żołnierza. Dowódcy Korpusu Pomorskiego i Wielkopolskiego, załogi grudziądzkiej i bydgoskiej, dowiedli przez wysłane swych delegatów, oraz przez zebranie poważnej sumy pieniędzy w podległych im formacjach, że inwalida wojenny, to nierozerwalna część Armji naszej. Żołnierze 64 pułku ze swym szlachetnym pułkownikiem wzruszyli nas do głębi duszy swą prawdziwie żołnierską serdecznością i gościnnościa Województwo Pomorskie i Wielkopolskie, Pomorskie Starostwo Krajowe i miasto Bydgoszcz, dały przez wysłanie swych delegatów, względnie telegramów gratulacyjnych i zapomogi pieniężne dowód, że całe społeczeństwo Pomorza i Wielkopolski współczuje z dolą ociemniałego żołnierza. Pan starosta Ossowski, marszałek zjazdu, reprezentant p. wojewody dr. Wachowiaka i ziemiaństwa, oraz p. prezydent i wiceprezydent miasta Grudziądza okazali przez swój czynny udział w obradach, wielki dar pieniężny i oddanie bezpłatne tramwajów miejskich, że miasto Grudziądz i okolica całem sercem wita swych nieszczęśliwych bohaterów i obrońców Ojczyzny. Prasa grudziądzka i pomorska nie szczędziły miejsca na łamach swych pism, by zjazd udał się jak najlepiej. Wszelkie odezwy umieszczała prasa bezpłatnie, a swą obecnością podczas całego dnia Zjazdu okazała zrozumienie dla sprawy naszej. Chór kościelny odśpiewał artystycznie mszę łacińską, towarzystwo Lutnia kilka pięknych pieśni podczas obchodu gwiazdkowego, a deklamacje i sola pań grudziądzkich oraz monologi sceny grudziądzkiej, przyczyniły się niemało do wzniosłego i wesołego nastroju Zjazdu. Rozczulająca była praca harcerzy przy podejmowaniu uczestników Zjazdu. Z zapału, z jakim się młodzież nasza pracy tej oddała, widać było, że i młode pokolenie nasze hartuje się do pracy społecznej i żołnierskiej ku chwale i wielkości ukochanej Ojczyzny. Obywatelstwo miasta Grudziądza i okolicy a przedewszystkiem zawsze ofiarne nasze kupiectwo poszczególne Czerwone Krzyże i panie bydgoskie nie szczędziły kosztów i zabiegów, by móc nas serdecznie ugościć i suto obdarzyć. Główny trud wziął na siebie grudziądzki Czerwony Krzyż, jako organizator Zjazdu a przedewszystkiem panie: Żyborska, Hoffmannowa, Bernecka, Maciejewska, Ostrowska, Stokowska, Korzeniewska, Piotrowska, Majowa, Boberska, Niemiecowa, Dobrzyńska, Zabłocka, Łotyszowa, Kruszonowa, gen. Ładosiowa, starościna Ossowska, Steinerowa, Schmidtowa, Baranowska.

Hołd wam Dobrodziejki i Dobrodzieje nasi! za wasz trud, za ofiarność i serdeczność waszą i tę cichą łzę współczucia! Nie możemy wielkiej wdzięczności naszej okazać inaczej, jak tem, że modlić się będziemy, by Rok Nowy przyniósł Wam wiele szczęścia i błogosławieństwa Bożego.

Związek ociemniałych wojaków na Wielkopolskę i Pomorze.

C. Perzyński, przewodniczący.

Wiadomości bieżące.

Kalendarz: Czwartek. **Nar. Chryst. P.** Wschód sło ń **8.18 zachód 3.48 Wschód księżyca 6.54 zachód 3.34**

—** **Nasz dzisiejszy świąteczny numer** obejmuje 24 strony, w tem 4 strony **dodatku świątecznego,** 4 wielkie (8 małych) **„Spraw kobiecych“** i 4 wielkie (8 małych) **„Swiatka Młodzieży“.**

Przesyłając czytelnikom numer świąteczny o objętości większej, mamy nadzieję, że każdy znajdzie w nim coś dla siebie i chętnie przyczyni się do agitacji za pismem naszem, by w nowym roku liczba czytelników znów się zwiększyła.

—** **Za chwilę** zabłyśnie gwiazda na niebie i zasiędą w domach polskich przy stole wigilijnym.

I my łączymy się z czytelnikami, przyjaciółmi i współpracownikami instytutu, łamiąc się z nimi opłatkiem w serdecznem życzeniu „Dosiego Roku“.

Z dnia.

Opowieść zwykła, a jednak ....
(Autentyczne)

Mieszkała z czworgiem dzieci sama, bez pomocy matczynej w malutkiej klatce raczej niż pokoju. Brud i wilgoć żarły ściany wytwarzając atmosferę zaduchu i stęchlizny. Piec od pięciu dni nie napalony. W pokoju zimno. Dzieci tulą się do matki.

— Matuchno, mnie się tak jeść chce.

— Choć kawałeczek chleba.

— Zimno.

Matka tuli biedactwa do siebie, z niepokojem śledząc w oczach dzieci błysk wenętrznego ognia, gorączki.

Cóż im poradzi biedna? Jak utuli i nakarmi, kiedy brak jej pieniędzy. Skromny zasiłek po mężu wystarcza na kilka dni.

Matczyne serce przepełnione bólem, bezmiernym decyduje się na krok ostateczny, idzie prosić ...

Czasem gdzieś pożyczy, czasem ktoś litościwy daje jej coś i tak wlecze się dzień za dniem w bólu i utrapieniu.

Zbliża się Boże Narodzenie, wigilja. Wychudłe dziecięce twarzyczki smutnieją coraz bardziej.

— Mamusiu czy nam przyniesie aniołek co zjeść?

— Przyniesie, napewno przyniesie.

— A może coś jeszcze więcej. Może kilka jabłek lub cukierków?

W ostatnim odruchu rozpaczy wychodzi matka na miasto, bez celu, bez nadzieji. Wie, że nikt jej już nic nie da.

Tłum gorączkowy dąży za swymi interesami, twarze wesołe, uśmiechy, ukłony.

— Dlaczego? — wyrwa się z ust biednej kobiety — dlaczego Boże nic dzieciom nie mogę dać bodaj ciepła i pożywienia. Inni są syci, zadowoleni

Nad wieczorem wróciła do domu z niczem.

W małej, nieoświeconej, brudnej i zimnej izbie spędzili wigilijny wieczór.

* * *

Fakt powyższy nie jest przesadą, jest najoczywistsza rzeczywistością. Dobrzeby było, aby w dzień powszechnego wesela pomyśleli ci, którzy mogą nietylko dzieci swe dostatecznie wyżywić, ale jeszcze im sprawiać niespodzianki, o tych biednych, najbardziej opuszczonych a redakcja nasza da informację chętnym, gdzie i jak kierować pomoc.

Nowa powieść.

Niebawem rozpoczniemy interesującą powieść młodej autorki grudziądzkiej p. t.: „SYN“

—** **Przedstawienia** w Teatrze przez oba święta (południowe o godz. 1-ej w poł., popołudniu o 4-ej i wieczorne) polecamy najgoręcej.

—** **Wigilja funkcjonarjuszy policji państwowej.** Uroczysty obchód wspólnej gwiazdki funkcjonarjuszy policji państwowej będzie miał dzisiaj miejsce w godzinach popołudniowych.

—** **Koncert** prof. Poselta nie mógł się odbyć wczoraj z powodu niedostarczenia fortepianu. Do sprawy tej powrócimy w najbliższym numerze.

—** **Brak choinek.** Już wczoraj popołudniu dał się odczuć brak choinek na zwykłych miejscach sprzedażnych. Liczni reflektanci na zakup choinki odchodzili z niczem. Wywołało to ogólne niezadowolenie, gdyż nie można sobie już dziś wyobrazić świąt Bożego Narodzenia bez choinki.

—** **Wigilja Zw. Inwalidów.** Wczoraj o godzinie 7-mej wieczorem w Bazarze odbyła się wspólna gwiazdka wdów, sierot inwalidów wojennych i ich rodzin. Interesujący program zaciekawił licznie zebranych, a serdeczne życzenia przedstawicieli władz państwowych, komunalnych, duchowieństwa, kupiectwa i „Głosu Pomorskiego“ dały napewno przekonanie obecnym, że o ich doli pamięta się, a jeśli nie robi się wszystkiego, jakby należało, to wina może leży w zamałem uświadomieniu społeczeństwa o istotnym położeniu. Przy dobrej woli można w przyszłości wszystkim tym brakom zaradzić.

—** **Sprawozdanie z zebrania Komitetu T. C. L. Dnia 23** grudnia br. w Muzeum odbyło się zebranie komitetu **Towarzystwa** Czytelni Ludowych, na którem ks. dyr. Jaranowski zdał sprawozdanie z Kongresu Oświatowego odbytego w Warszawie w dn. 7 i 8 grudnia. Prócz tego omawiano sprawę urządzenia cyklu wykładów w śródmieściu i na przedmieściach z okazji rocznicy koronacji Bolesława I. Na propozycję p. Kisielewskiego uchwalono porozumieć się w tej sprawie z innemi kołami kulturalno - społecznemi.

— **Wiadomości policyjne.** W dniu wczorajszym aresztowano ogółem 4 osoby i to: 2 za kradzież, 1 celem odstawienia do domu poprawy w Chojnicach i 1 za pijaństwo.

—** **Z woj. więzienia śledczego.** Jak nas informują, odbyło się przed kilku dniami w woj. więzieniu śledczem poświęcenie kaplicy pod wezwaniem „Matki Boskiej“ dla potrzeb uwięzionych żołnierzy. Komenda więziena podkreśla fakt szczerego zajęcia się komitetu pań urządzeniem wewnętrznem kaplicy.

—** **Podziękowanie.** Zarząd Tow. Akc. Herzfeld i Victorius przesłał mi 1 000 złotych na cele społeczne do mojej dyspozycji. Z sumy tej przeznaczyłem na gwiazdkę dla najbiedniejszych bezrobotnych 900 złotych resztę pozostawiając do dalszego podziału dla najuboższych. Na tej drodze składam ofiarodawcom serdeczne podziękowanie za złożoną ofiarę

Prezydent Miasta Grudziądza (—) **Włodek.**

Z Pomorza.

—** **ŚWIECIE. (500 złotych nagrody za pochwycenie morderców).** Wydział powiatowy powiatu świeckiego wyznaczył 500 złotych za wyśledzenie i pochwycenie sprawców morderstwa, popełnionego w ostatnim czasie w Terespolu na osobach Strehlaua i Steinborna.

—** **CHOJNICE. (Ostrzeżenie przed oszustem).** W ubiegły piątek zjawił się w księgarni p. B. jakiś pan, który przedstawiając się jako nauczyciel z Ostrowitego, zakupił większą ilość książek. W nieobecności p. B. zażądał on arkusz papieru, gdyż chciał napisać jakiś wniosek do Urzędu Skarbowego. Gdy później się powtórnie zjawił, prosił p. B., aby mu pożyczył 20 złotych P. B. dał mu je w tem mniemaniu, że klijent zapłacił już poprzednie zakupy w kwocie 100 zł. Oczywiście ów pan po wyjściu więcej się nie zjawił. Pan B. udał się jednak za oszustem w pogoń. Spostrzeżono go siedzącego sobie w jakiejś restauracji, gdzie podobno również próbował w nienależyty sposób pieniądze wycisnąć. Po kilku nieudanych próbach naciągnięcia ludzi udał się z powrotem do księgarni p. B. Ten zażądał natychmiast zwrotu 20 złotych z powrotem, które u pana „nauczyciela“ stopniały na 14 złotych. Za resztę zastawił jakąś tekę skórzaną prawdopodobnie także nieuczciwego pochodzenia. Ponieważ w Tucholi również jakiś rzekomy „nauczyciel“ pokrzywdził w oszukańczy sposób jakiegoś kupca, należałoby sądzić, że chodzi tu o jednego i tego samego osobnika.

Zwierzę w ludzkiem ciele.

Proces krwawego wampira niemieckiego Haarmanna zakończył się — jak już donosiliśmy — skazaniem go i jego wspólnika Gransa na śmierć. W dniu poprzedzającym ogłoszenia wyroku, zaprezentowano sądowi podczas ogromnego napięcia nerwowego publiczności djabelską kuchnię i narzędzia, któremi morderca oprawiał ciała swoich nieszczęsnych ofiar.

Oskarżyciel publiczny dr. Wild obwinia zbrodniarza o 118 morderstw, udowodniono jemu jednak tylko 26 mordów. Do 9 mordów przyznał się Haarmann sam, w 12 wypadkach nie przypomina sobie dokładnie czy chodzi o tych chłopców, których wymienia akt oskarżenia, 5 zbrodni natomiast wypiera się.

Badania lekarzy rzeczoznawców stwierdziły, iż zbrodniarz jest wprawdzie nienormalnym sadystą i czyny jego mają podkład seksualny, lecz Haarmann zdawał sobie dobrze sprawę ze wszystkich dzieł i winien ponieść odpowiedzialność za swoje czyny.

Dr. Schultze, dyrektor kliniki psychiatrycznej uniwersytetu w Göttingen stwierdza u Haarmanna obciążenie dziedziczne mimo to także i pełną odpowiedzialność popełnionych mordów.

Drugi rzeczoznawca dr. Schackwitz stwierdza również świadomość umysłową Haarmanna. Moralnie mało wartościowy. Popęd płciowy silnie rozwinięty. Histeryk. Skłonności homoseksualne wystąpiły u niego od 26 r. życia. Nabawił się wtedy choroby wenerycznej i znienawidził kobiety. Stopień jego moralności pozwala przypuszczać, iż Haarmann mordował nawet bez podniecenia płciowego.

Podczas przemówienia pierwszego prokuratora publiczność została wykluczona z sali. Początkowo oskarżano Haarmanna o 118 wypadków, jednakże później wyodrębiono z tego 73 wypadków.

Haarmann posiadł duży zmysł spostrzegawczy. Nie powiedział nic nadto co mu zarzucano, jako udowodnione, milczał zaś, gdy wypadek był wątpliwy lub gdy mógł pogorszyć jego położenie.

Wbrew oczekiwaniom przemówił obrońca H., dr. Benfey. Cóż ma zrobić, skłania głowę przed orzeczeniem lekarzy-psychjatrów. Apeluje do sędziów o sprawiedliwy wyrok.

Zbrodniarz przeświadczony jest o swej sławie. Cieszy go to niezmiernie, że nazwisko jego znane jest całej Europie. Lekarzowi, który go badał, zaproponował napisania romansu p. t.: „Życie Haarmanna". Zrobi pan na tem dobry interes, pragnę jednak, żeby się podzielił pan zyskiem z Gransem, który niedługo zostanie sam na świecie.

Ponieważ potworny zbrodniarz zdawał sobie dokładnie sprawę z tego, iż czeka go kara śmierci, wydał ostatnie dyspozycje. Pragnie, aby na grobie jego ustawiono kamień z napisem: „Tu spoczywa okropny morderca Haarmann". Żąda, aby przyjaciel Grans, co roku dnia 25 października tj. w rocznicę jego urodzin, składał na grobie wieniec kwiatów.

W rozmowie z naczelnikiem więzienia z dumą utrzymywał, że uważa się za człowieka, który pobił rekord światowy. Prosi zatem, by stracenie jego odbyło się na miejscu publicznem najlepiej na rynku w Hanowerze i aby z egzekucji zdjęto film do kinematografu, za tysiąc bowiem lat wymawiać będą ludzie jego nazwisko.

W dniu ogłoszenia wyroku wprowadzono Haarmanna i Gransa do sali sądowej pod silnym konwojem. Grans był uderzająco blady, podczas gdy Haarmann rozglądał się po sali jak zwykle.

Wśród głębokiej ciszy przewodniczący przeczytał znany już wyrok. W umotywowaniu jego zaznaczył, że rozprawy sądowe całkowicie wyjaśniły sposób życia Haarmanna. Trybunał w zgodzie z rzeczoznawcami doszedł do przekonania że Haarmann nie jest ani umysłowo chorym, ani epileptykiem, że w chwili dopuszczenia się mordu nie znajdował się w stanie nieświadomości, ani też w takim chorobliwym stanie, który wykluczałby z jego strony odpowiedzialność za popełnione zbrodnie.

Trybunał stoi na stanowisku, że Haarmann dopuszczał się zbrodni z premedytacją i że były one z góry uplanowane. Był on człowiekiem wstydzącym się zarabiać na życie uczciwą pracą, a więc żebrał, kradł, pełnił służbę szpiegowską, a czynił to pozornie w tym celu, aby pozyskać zaufanie władz policyjnych.

Trybunał uważa też za wykluczone ażeby dopuszczał się on zbrodni w stanie podniecenia seksualnego, gdyby bowiem tak było, to zbrodnie te nie byłyby w najdrobniejszych szczegółach z góry uplanowane. Haarmnnn działał z całą świadomością, nie zawsze mówił prawdę i nawet w swojem ostatniem słowie powiedział — że wiele przemilczał.

Trybunał doszedł do przekonania, że obok seksualnych motywów, także i chciwość oraz chęć osiągnięcia zysków były tu bodźcami do morderstw. Dowód, iż Haarmann działał z premedytacją, znajdujemy już choćby w tem, że przed popełnieniem zbrodni i w chwili dopuszczania się jej, wiedział on doskonale, jak musi postępować. Przytrzymywanie rąk jego ofiar i ta okoliczność, że wczasie popełniania zbrodni kładł on się na swych ofiarach całym ciężarem swego ciała, aby uczynić je bezbronnemi, wskazuje na premydytację. Z premydytacja też zadawał on swym ofiarom ukąszenia w gardło. Było to możliwe tylko w takim wypadku, jeśli jego ofiara znajdowała się w odpowiedniej pozycji.

Na zapytanie przewodniczącego, czy oskarżony ma jeszcze co do powiedzenia, Haarmann oświadczył, że wyrok całkowicie przyjmuje. Zrezygnował z rewizji swego procesu i ze wszelkich kroków o ułaskawienie. Prosi tylko, ażeby został jak najprędzej stracony, o ile możności jeszcze przed Bożem Narodzeniem.

Tem życzeniom nie stanie się zadość, pozostanie on aż do wykonania wyroku w więzieniu hanowerskim. Wyrok będzie wykonany na małym podwórzu hanowerskiego więzienia przy bardzo nielicznych świadków.

Spełnione będzie inne życzenie zbrodniarza, który zażądał, ażeby rano w dniu jego stracenia podano mu jego stracenia podano mu jego ulubione potrawy, a mianowicie kawę ze śmietanką, oryginalny ser z Harzu, a do tego jedno

REKLAMY.

—** **Smutek i nieszczęście** przynieść może gwiazdka tej rodzinie, której mienie przez nieostrożność przy zapalaniu świec na choince się spali. — Poleca się rodzinom nie pozostawiać dzieci bez opieki przy zapalaniu świec na choince, albowiem rok rocznie wydarzają się wypadki pożaru przez nieostrożność obchodzenia się z zapałkami przy zapalaniu świec względnie przystawiania choinki blisko firan i zasłon.

Firma W. Polley poleca wielki wybór likierów, wina i t. d. po przystępnych cenach.

Kino „OLIMJA" wyświetla w święta interesujący program, na który zwracamy uwagę w „Dziale Ogłoszeń".

Znana ze swej solidności firma **C. M. Powałowski** w Grudziądzu przy ul. Toruńskiej nr. 4. (Plac 23 Stycznia), pierwszorzędny dom bławatów, konfekcji, artykułów męskich, bielizny męskiej i damskiej, poleca po nadzwyczaj tanich cenach najprzedniejsze materjały wełniane i bawełniane, konfekcję damską i męską w wielkim wyborze przy usłudze fachowej.

Kino „APOLLO" przy ulicy Groblowej wyświetla wielką niespodziankę gwiazdkową, potężne arcydzieło wytwórni „Gaumont" z cyklu Judex „THI MINH", z niezrównanym humorystą Biscotem. Każdy gość otrzymuje bezpłatny wstęp.

Firma Poznański Bank Ziemian przy ul. Wybickiego zwraca stronom interesowanym uwagę, że dostarcza na wiosnę wszelkie sztuczne nawozy za kredytem długoterminowym. Szczegóły patrz w ogłoszeniu.

Z ostatniej chwili.

LICZNE WIOSKI ZNIKŁY BEZ ŚLADU.

Madryt, 23. 12. Jak donosi „Przegl. Wiecz.", na wyspie Malora na przestrzeni 140 km. zapadła się ziemia. Na przestrzeni tej mieszczące się liczne wioski znalazły zagładę. Straty są olbrzymie. Liczba ofiar w ludziach dotychczas nie ustalona.

KANADA KOLONIZUJE.

Londyn, 24. 12. (AW.) Według wiadomości z Otawy, rząd kanadyjski zapowiada na rok 1925 wielką kampanję kolonizacyjną.

Kanadyjski rząd ma zamiar kolonizować tereny jeszcze niewyzyskane, a osadników sprowadzać z Anglji, Belgji, Francji, Polski, Jugosławji i Skandynawji.

Zdaniem rządu kanadyjskiego z tych krajów koloniści stanowią materjał najkorzystniejszy, natomiast będą czynione trudności kolonistom z Niemiec dlatego, że, zdaniem rządu kanadyjskiego, pochodzą one z grup osób klasy zbankrutowanej i nie umieją pracować na roli. —

Drukarnia Pomorska Tow. Akc. Grudziądz.
Redaktor odpowiedzialny: Józef Kisielewski.

Święta w Polsce.

Nie wiem, czy gdziekolwiek na świecie wielkie, doroczne święta katolickiego kościoła są tak oczekiwane miłośnie, jak u nas w Polsce. Na tygodnie już całe z pewnem wzruszeniem liczy się dni, że drżeniem w głosię i z jakiemś dziwnem uczuciem w sercu wymawia się słowa, że oto nadchodzi Wigilja, Święto Narodzenia Bożego, Zmartwychwstania Pańskiego, Matki Boskiej, Boże Ciało, Zaduszki i tyle innych. A chociaż z roku na rok powtarzają się dni owe, przecież nie tracą przez to nic na swej sile i uroku, zawsze żywe i umiłowane, a dostojne tak, iż niema w Polsce człowieka, któryby nie przywdziewał odświetnej szaty, nie pragnął być lepszym na duchu. Przez chwilę cichną namiętności, — złość ludzka, jakby zawstydzona, cofa się gdzieś w najtajniejsze zaułki duszy, koją się żale, urazy i smutki, a jeśli nawet w oczach błyśnie łza, jeśli i popłynie po zbolałej twarzy, to przecież niesie ona wtedy ze sobą nie rozpacz ale pocieszenie, ulgę, nadzieję. Zda się — Duch Boży zstępuje do serc ludzkich, prawdy żywe wypełniają świat, poczyna się tryumf dobra i miłości, braterstwa dusz, anielstwo globowe, Królestwo Chrystusa na tym padole łez — jedna owczarnia i jeden pasterz — pasterz dobry.

Święta w Polsce są duszą naszego życia, mądrością umysłu i radością serca polskiego, albowiem podczas nich właśnie — snać za zrządzeniem Opatrzności, w toku dziejów naszych sprzęgły się z sobą nierozerwalnie w organiczną całość najwyższe wartości duszy i serca, ostateczne cele żywota, jakimi są: rodzina, Ojczyzna i Bóg. I właśnie owego zespolenia i ślubu, rzecby można ziemskiego, ucieleśnieniem i wykładnikiem na zewnątrz są święta.

Któż bowiem w Polsce w Wieczór Wigilijny, czy w uroczystość Rezurekcyjną, czy w listopadowę Zaduszki zdoła oddzielić od siebie jedną z tych nieśmiertelnych wartości, rozgraniczyć je i wskazać, gdzie się kończy jedna, a poczyna druga ... tu rodzina, tam zaś Ojczyzna... wreszcie Bóg. Ach nie! to niemożliwe i niegdyś i dziś także. Bo czy pójdziem na Zaduszki na groby, czyż nie co drugi u nas od wieków zawiera szczątki bojownika za Ojczyznę i wiarę, czy, kiedy gromnicę świecić idziemy do kościoła na ostatnie chwile żywota, tych wspominając, co już ją przeżyli, czy gdy

„Wieśniaczki dziś na Ołtarz Matki Zbawiciela
Niosą pierwszy dar wiosenny, świeże snopki ziela,
A na głos dzwonka niby wiatru powianie.
Chylą się wszystkie głowy jak kłosy na łanie" —

czy kiedy w Święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy wzajemnie ku sobie dłonie wyciągamy wśród życzeń serdecznych dla wszystkich żyjących i wspominań o tych.

„których kto żywy, pamięta,
I których zmarłych pamięć pozostała święta" —

czy kiedy w zieleń progi domostw naszych stroimy... na Zesłanie Ducha Świętego... mądrości i bojaźni Bożej dla nas i narodu całego, czy wreszcie w uroczystych procesjach z głową Państwa na czele, z przepychem i powagą, zdumiewającą obcych, hołd Najświętszej tajemnicy Bożego Ciała oddajemy, czy kiedy „moc truchleje" albowiem „Bóg się rodzi" czy gdy Zmartwychwstając, „moce piekielne zwojuje" — zawsze modły nasze i pieśni, radości i nadzieje, skargi i pojednania, — rodzina, Ojczyzna i Bóg.. oto są święta polskie, opłatek i święcone, kolędy i godzinki, rezurekcja i pasterka, katedry gotyckie i kościółki drewniane, a w nich...

„Wszystko wkoło ubrane w bukiety i w wianki,
Ołtarz, obraz, a nawet dzwonnica i ganki.
Czasem poranny wietrzyk, gdy ze wschodu wionie,
Zrywa wianki i rzuca na klęczących skronie,
I rozlewa jak z mszalnej kadzielnicy wonie.

To też, jeżeli w narodzie naszym, a zwłaszcza u ludu, robotnika i mieszczaństwa jest wiele skarbów duchowych, których nie zdołała dotąd zniszczyć burzycielska robota wywrotowców, jeżeli warstwy te, zaniedbane przez wieki całe w oświacie, mają w duszach tak wiele cnót i siły, że same bez niczyjej pomocy niemal opierają się agitacji, odbierającej im wiarę, rodzinę i Ojczyznę, głoszącej rozbicie małżeństwa, bezwyznaniowość, międzynarodówkę, rabunek cudzej własności i nienawiść klasową, to moc owa zaczerpnięta jest podczas tych żywiołowych chwil uniesienia, jakie lud przeżywa w niedzielę i święta uroczyste, gdy padłszy na kolana nieuczonym głosem, ale z głębi jestestwa swego, bijąc się w piersi spracowaną dłonią, wśród dymów kadzielnych i w błyskawicach świateł przy wtórze organów uderzy w niebo pieśniami co zdają się wstrząsać ziemię w posadach: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty, a Nieśmiertelny", „Podnieś rękę Boże Dziecię", „Chrystus Zmartwychwstan jest", „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi". — I jeżeli skarżymy się ustawicznie, żeśmy pełni błędów i niemocy, że duchowo nie doroślišmy do tych olbrzymich zadań, jakie dziś stoją przed nami, to jakiż czas do pracy nad odrodzeniem bar[illegible] dogodny, kiedyż dusza więcej podatna na wpływy dobre, jak w święta właśnie, gdy człowiek oderwany choćby na chwilę od przyziemnych trosk staje się lepszym, bo czuje w sobie pierwiastek Boży. W Święta też przeorać musimy żyzne ugory naszych dusz pod zasiew ziarna Bożego, aby niebawem Polska cała... i wioski i miasteczka i pola szare i fabryczne dziedzińce i pracownie uczonych i gabinety urzędnicze poczęły rodzić owoce zdrowe, dla nas i bliźnich, dla Ojczyzny i Kościoła... dla ludzkości. Albowiem dotychczas mało jest u nas i owoców i siewców, jeno ugory olbrzymie, a zaniedbane czekają i marnieją, o czem niechaj zechce przypomnić sobie odpowiedzialna za te ugory przed historją, a niestety obojętna dotąd inteligencja polska. Niech się ocknie dziś, kiedy Bóg się rodzi Bóg maluczkich i uciśnionych, by dzielić z nami trudy i znoje.

Nie bójmy się, że przez Święta uszczupli się nasza produkcja. Niemców dorobek niedzielny, bo oni pracowali i w niedziele, leży dziś na dnie oceanów a zmaterjalizowana ludzkość mordowała się w ohydny sposób przez długi jak wieki szereg lat. My pamiętajmy o tem, czego uczył Mickiewicz, że przez uszlachetnienie serc i rozumów, — a to się dokonywa w święta, — polepszymy prawa i powiększymy granice nasze, bo nie zbuduje bdowniczy domu, gdy fundamentów Pańska mu nie założy opieka, bo

„Pracuj we dnie, pracuj w nocy,
Próżno — bez Pańskiej pomocy;
Boga dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dr. T. Mendrys

Wielka nowina.

Słyszycie wszyscy? Ciszą, szeptem, mrokiem
Błyskaniem świateł, idących z daleka
Wielka nowina spłata nas urokiem
I mocą swoją potężną urzeka.
Cicha jak prośba promienno-skrzydlata
Przynosi wieści z zaziemskiego świata.

*

Niechaj się serca ustroją w prostotę,
Niechaj się słowa splotą w snów różaniec,
Aby, gdy przyjdzie boski ów posłaniec,
Serca się zbiegły w jedno serce złotę,
Dalekich swarów nie mącone złością,
I niech zostaną tak — Polski przyszłością.

*

Za nami niebo od błyskawic krwawe,
Za nami smętek i wiekowe klęski,
A oto idzie wódz wielki, zwycięski,
Dzierżący w ręku władania buławę,
A pokazawszy nam dróg prawa wieczne,
Powiedzie Polskę w jej Jutro słoneczne.

W. B.

Boże Narodzenie.

Oto zbliża się jedno z najmilszych świąt, święto Bożego Narodzenia, zwane powszechnie godami, a porzedzone przez uroczyście obchodzony dzień wigilijny.

„Wigilja Bożego Narodzenia!" — już nawet sam dźwięk tych wyrazów wywiera na duszę czar magiczny, a cóż dopiero, gdy nadejdzie ten cudowny wieczór, kiedy pierwsza gwiazda zabłyśnie na niebie, a z jej blaskiem jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, we wszystkich domach zasiądą rodziny wokoło bieluchno zasłanych stołów, dzieląc się opłatkiem i życząc sobie nawzajem szczęścia; rozgorzeją miljonem światełek zielone choinki i rozradowane oczka skaczącej wokoło dziatwy, a podniosły nastrój ogarnie starszych, bo oto w wieczór ten święty boskie Dzieciątko Jezus, ta cudowna apoteoza dziecka, które w każdej rodzinie jest skarbem najcenniejszym, zstępuje mistycznie co roku z nieba na ziemię i błogosławi światu. Serca wyczuwają ten przypływ tajemniczej, nadświatowej łaski i zda się słyszą dźwięki anielskiej muzyki — fala rozradowania cichego, a podniosłego udziela się wszystkim. Słyszycie, jak Aniołowie śpiewają „Hosanna! Cieszmy się — Dzieciątko się narodziło! Cały świat rozweseliło!"

Święto Bożego Narodzenia, jak prawie wszystkie święta chrześcijańskie, jest połączeniem obrządków odwiecznych kultów pogańskich: wschodnich i słowiańskich z pamiątkowemi uroczystościami nowej wiary świętej i wypada w porze, kiedy starożytne ludy obchodziły święto porównania dnia z nocą, a więc święto nadziei narodzin nowej wiosny i nowego lata, poczętych przez powracające do sił życiodajne słońce.

Święto Bożego Narodzenia obchodzono w dawnej Polsce nader uroczyście, a żadne inne nie posiadało tyle swojskiego uroku, co wigilja, wraz z tradycyjną wieczerzą. Było to prawdziwie, w najdoskonalszem pojęciu tych wyrazów, święto domowe — święto rodzinne, hołd oddany Rodzinie Najświętszej i jednocześnie uświęcenie życia rodzinnego, jako podstawy bytu każdego społeczeństwa.

Lud nasz posiada wiele przesądów, wierzeń i przepowiedni, związanych z dniem wigilijnym, a liczne przysłowia z tej daty są owocem i dowodem długoletnich doświadczeń współżycia wsi z przyrodą. Oto kilka przykładów:

„Kiedy w Gody jasno,
Będzie w gumnach ciasno.
Kiedy w wigilję biało na dworze,
Będzie dość mleka w oborze."

A że przytem wigilja Bożego Narodzenia jest właściwie ostatnim dniem w roku w erze chrześcijańskiej, więc też utarł się zwyczaj czynienia dnia tego różnych wróżb na rok następny, a stara gadka, powszechnie znana, mówiła: „Jakiś we wilię, takiś przez rok cały".

To też gosposie starały się w wigilję zawsze wstać rano i wykonać swe prace jaknajciszej i jaknajstaranniej, aby spokój, ład i porządek panował w domu przez rok cały — a że pomyślne łowy w wigilję były uważane za zapowiedź szczęścia zaś młody gość rano w domu za dobrą wróżbę zamążpójścia dla córek gospodarstwa, przeto już od wczesnego rana młodzież męska, zapraszana w sąsiedztwie, wybierała się na polowania, oraz połów ryb.

Lecz głównym obrzędem domowym w wigilję Bożego Narodzenia, była zawsze wieczorna uczta postna, zwana powszechnie „wilją".

Stary obyczaj zarówno pod słomianą strzechą, czy w szlacheckim dworku, albo w pańskim pałacu przestrzegany, nakazywał, aby na pamiątkę Dzieciątka Jezus, urodzonego na sianku, stół jadalny posypany był sianem. Z siana tego potem, młodzież, wyciągając je po źdźiebełku z pod obrusa, czyniła sobie różne przepowiednie, zaś po wieczerzy, rozdzielano je między zwierzęta domowe, roślinożerne, aby i bydlątko Boże coś niecoś ze świętej uczty wigilijnej skosztowało.

I ażeby świetlica wigilijna przypominała wnętrze stajenki betleemskiej, a jednocześnie ku uczczeniu szczęśliwych zbiorów żniwnych, ustawiano po rogach pokoju czy izby żytnie, pszeniczne, i jęczminne snopy, a ziarnem z nich wykruszonem karmiono potem drób domowy.

Pogańscy przodkowie nasi ubóstwiali gwiazdy, które, jak dobre duchy opiekuńcze, rozjaśniały im ciemności, podczas długich zimowych nocy. Wiara i nauka o tajemniczym wpływie gwiazd na losy ludzkie właściwa jest wszystkim starożytnym religjom, więc też ludy w tysiecznych legendach głosiły sławę tych zwiastunek dobrej doli, zaś cudowna legenda o gwiaździe betlejemskiej która zwiastowała światu narodziny Boga, jest koroną ich wszystkich. To też — na cześć jej, przez ukazanie się pierwszej gwiazdki na niebie, była zawsze hasłem do rozpoczęcia postnej, wigilijnej wieczerzy.

Ilość i jakość potraw wigilijnych, rozmaitą była w różnych stronach Polski. W wiejskich zagrodach jadano zwykle barszcz na grzybach, lub siemieniatkę, ti. zupę z siemienia konopnego — po możniejszych zaś dworach: polewkę winną lub migdałową — potem grzyby z kapustą, różne dania z ryb, wreszcie wszędzie, mak tarty z kluskami, lub łamańcami, pierniki, miód, owoce suszone, jabłka i orzechy. — jednem słowem wszystko to, czego dostarczyły gospodarstwu zbiory letnie i jesienne z pól, lasów i ogrodów.

We wschodnich okolicach Polski tradycyjną potrawą wigilijną była i jest tak zwana kucja, przyrządzona z pęczaku, z makiem i miodem, oraz owsiany kisiel. Zwyczaj przestrzegał, aby potraw wigilijnych była zawsze liczba nieparzysta, na pamiętkę 9-ciu miesięcy, poprzedzających Narodziny Jezusowe, zaś liczba uczestników zawsze do pary, bo nieparzystą uważano za złą wróżbę, a przedewszystkiem przestrzegano, aby nie było złowieszczej 13-ki, która to liczba miała przypominać Judasza z Wieczerzy Pańskiej. Był też zwyczaj piękny, że jeśli w którym domu brakowało pary do stołu, proszono ubogiego żebraka na brakujące miejsce, na pamiątkę, że i Chrystus jadał wspólnie z ubogiemi. W wielu domach staropolskich, trzy przednie krzesła ustawiono puste. Były one przeznaczone dla duchów przodków, o ileby i one pragnęły w dniu tym wziąść udział w uroczystościach rodzinnych, a każdy z domowników przychodził do tych miejsc z opłatkiem i dzielił się nim w myśli z umarłymi. Były też zostawione nieraz miejsca dla podróżnych, niespodziewanych gości, którychby noc i zamieć zagnała w te strony, wizyta taka, o ile się zdarzyła, była uważana za najlepszy znak błogosławieństwa Bożego dla domu na cały rok, bo sam Chrystus przychodził w odwiedziny Nawet zwierzęta domowe opatrywano dnia tego ze specjalną pieczołowitością, aby nikt z żyjących nie czuł się samotny i opuszczony w wigilijny wieczór. Wogóle zabobony, tyczące się Wigilji, posiadają specjalny czar serdeczności, życzliwości i dobrej woli, nietylko ku swym najbliższym krewnym współbraciom, ale ku każdemu stworzeniu boskiemu, pięknie malują one wrodzony charakter naszych przodków, oraz tę piękną ich wiarę w prawdziwość słów anielskiej pieśni, którą ongi przed wiekami usłyszeli pastuszkowie w Betlejem: „Hosanna Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Dowodem zewnętrznym tego nastroju był i opłatek wigilijny — którym we wilję nawet i z największym trzeba się było przełamać wrogiem, o ile go wypadek zagnał dnia tego w nasze progi domowe. Zwyczaj ten sięga najdawniejszych czasów, niemal że początków ludzkości i wyobraża pamiątkę owych chlebów przaśnych, pozostałych z ofiar, które kapłan po obiedzie rozdzielał wiernym. Stary ten rytuał religijny i obyczajowy, ten symbol braterstwa ludzi, złączonych w jedną rodzinę wobec Boga Ojca — był zaczątkiem i promieniem przyszłej Komunji św., którą Jezus Chrystus przez ofiarę życia uświęcił i podniósł do godności Najświętszego Sakramentu — jest on też pozostałością odwiecznych uczt pożniwnych, kiedy to stodoły były pełne, a wieczory długie i wolne, więc sąsiedzi zbierali się po domach, goszcząc się nawzajem chlebem i życząc sobie dobrych żniw na rok następny.

Kościół katolicki, gwoli uczczenia pamiątki Wieczerzy Pańskiej, uświęcił ten stary zwyczaj i oddawna było tak, że proboszcz przez swego kościelnego rozsyłał wiernym w parafji opłatki wraz z życzeniami Opłatki

te białe, przeplatane kolorowemi, zdobne rozetkami ze złoconego papieru i opromienione aureolą dobrych życzeń „Dosiego Roku“ są najpiękniejszą tradycyjną ozdobą wigilijnego stołu i wigilijnej wieczerzy polskiej. Rozdawanie podarków gwiazdkowych dzieciom i domownikom było też we zwyczaju w dawnej Polsce, jak również przystrajanie domu w tym czasie; jedliną. Zato zwyczaj strojenia choinki świeczkami płonącemi, — złoconemi orzechami i jabłkami, jest nieco późniejszy i pochodzi z Niemiec przyjął się jednak u nas i spodobał tak, że teraz wszędzie, gdzie tylko jest dziatwa, tam ulubiona jarząca od światełek różnokolorowych, zielona choinka być musi, uczcili ludzie drzewko iglaste z uprzejmością za to, że kiedy wszystkie inne drzewa smucą nas w zimie martwą swą nagością, ono jedno zachowało barwną, letnią sukienkę i raduje oczy nasze w szare zimowe dnie.

Po skończonej wigilji śpiewano chórem w każdym domu kolendy starodawne, a ten śpiew chóralny o swojskiej melodji, który rok w rok, o tej samej porze w wieczór wigilijny po miastach i wioskach, pałacach i dworach, domkach i chatynkach, jednocześnie rozbrzmiewał, jest jedną z najbardziej wzruszających serce chwil Roku Pańskiego i daje złudzenie, że cudowna noc Betleemska gdy się Chrystus rodził, rokrocznie na polskiej odżywa ziemicy:

Wśród nocnej ciszy — głos się rozchodzi,
Wstańcie pasterze — Chrystus się rodzi.
Czemprędzej Go powitajmy,
Z Aniołami zaśpiewajmy
Chwała, cześć Panu!

Nieraz już, zaraz po wigilji, chłopcy wiejscy zaczynali obchodzenie domów z szopką, lub z gwiazdą i śpiewem kolend — poczem gromadnie wybierano się na pasterkę, a młódź męska, dla rozwidnienia drogi, a często może i dla odstraszenia wilków, których dawniej pełno było po naszych lasach zimą, niosła płonące łuczywa Ślicznie wyglądał taki rozśpiewany, jarzący światłem pochód, wśród ciszy nocnej i ciemności a nierzadko i na tle białych puchów świeżo spadłego śniegu. To też, kto żyw, komu zdrowie i siły pozwalały, dążył choćby do odległego kościoła, byle wziąść udział w ulubionem nabożeństwie i miłe z niego wspomnienie unieść ze sobą do domu na późniejsze czasy.

Oto jak kończyła się ta cudowna noc wigilijna — święta noc, która na skrzydłach pieśni ludzkich i anielskich łączyła zda się niebo z ziemią, niosąc błogie ukojenie światu — a zaczynały się właściwe gody z całym szeregiem następujących po sobie uroczystych świąt Bożego Narodzenia, Nowego Roku i Trzech Króli, w czasie których nie było końca różnym tradycyjnym zabawom, obchodem, śpiewom przebierania się, powinszowankom, podarkom i poczęstunkom. Wesoło z godnem i szczerem sercem bawili się przodkowie nasi. Radujmy się i my dzisiaj za ich przykładem i dzieląc się chlebem Bożym z całą ukochaną Polską, życząc sobie wzajem błogosławieństwa z promiennych rączek Świętej Dzieciny, zaśpiewajmy wspólnie tę prześliczną kolendę pióra poety Karpińskiego:

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siły swą siłą.
Dom nasz i majętność całą,
I nasze wioski z miastami.
A słowo ciałem się stało,
I mieszkało między nami.

Halina Kamocka.

PPŁK. DOBROWOLSKI ZYGMUNT.

Dwie wigilje.

(Ze wspomnień osobistych.)

Działo się to w roku 1904 podczas wojny rosyjsko-japońskiej w Charbinie, znajdującym się w Chinach w prowincji mandżurskiej, która stała się wtedy kością niezgody i przyczyną wybuchu wojny pomiędzy państwem Białego Cara i krainą wschodzącego słońca.

*

W jasno oświetlonej elektrycznością, niezbyt dużej sali białością swoich ścian i skromnością otoczenia, przypominająca pokój koszarowy, panował wesoły gwar.

Za kilku stołami na krzesłach, taboretach i ławkach siedziało kilkunastu mężczyzn w szlafrokach szpitalnych. Kilku z nich trzymało szczudła w rękach, nie rozstając się z niemi nawet w pozie siedzącej; inni mieli ręce na białych chustkach, drudzy z przepaskami na głowie, twarzy i t. p.

Na uboczu stał duży, długi stół z ogromnym samowarem na jednym końcu, otoczonym gniazdem swoich satelitów — szklankami do picia herbaty.

Druga połowa stołu była zajęta tortami, krankami chleba, łakociami różnemi: migdałami ocukrzonemi, chałwami itd. Przy stole krzątało się kilka gospodyń w białych czepkach z czerwonemi krzyżami na białej przepasce, którą miała każda z nich na ramieniu, nalewając i roznosząc herbatę, bułki i cukier chorym.

Po pokoju w cywilnem ubraniu przechadzał się mężczyzna lat średnich, o sympatycznym wyrazie twarzy, po kolei przechodząc to do tej, to do innej grupy chorych. Był to lekarz chirurgicznego oficerskiego wydziału

Zabawa ta, że tak powiemy, była gwiazdką, urządzoną przez zarząd szpitala szlacheckiego (wystawionego na czas wojny kosztem rosyjskiej szlachty) dla swoich rannych oficerów, nawet powiedziałbym, ciężko rannych, bo tylko takich nadsyłano do tego szpitala, ze względu na najlepszy w nim dobór lekarzy chirurgów.

Wszystko to tutaj zebrane kalectwo było wynikiem dziesięciodniowej, krwawej, nierozstrzygniętej wrześniowej bitwy nad rzeką Szache, która kosztowała Rosie 60 tys. rannych i zabitych, w której i ja, przy wiosce Landzygaj, zostałem ciężko smagnięty karabinową kulą w obie nogi. Od dwóch tygodni byłem już po ciężkiej operacji, na którą czekałem dwa miesiące, zrobionej mi pod chloroformem. Pierwsze 2 tygodnie po operacji noszono mnie na zmianę bandaży do sali opatrunkowej w łóżku. Od kilku dni dopiero „nieubłagany“ Jakow Iljicz (nasz doktor, wspomniany już wyżej, młodszy chirurg) kazał mi chodzić samemu. Naturalnie, że to chodzenie moje było fikcją, bo odbywałem tę podróż do sali opatrunkowej przy pomocy dwóch sanitarjuszy, podtrzymujących mnie pod ramiona.

— Siostro! Jeszcze szklaneczkę!

— Siostro! Poproszę o kawałek tortu! Siostro! kawałek cukru! — rozlegało się ze wszystkich strony i siostry miłosierdzia, te opiekuńcze istoty, zadawalały nasze prośby zmiłą gotowością i uśmiechem na ustach.

Byliśmy naówczas wszyscy pod wrażeniem upadku fortecy P. Artura i nasze rozmowy często wracały do tematu o wojnie i przyczynach, które ją wywołały

— Ale co tam kolega prawisz, — uniosłem się podczas rozmowy takiej z moim najbliższym sąsiadem, który w całem tem zajściu wystawiał Rosję, jako niewinnego baranka, — któż widział, aby państwo, rozpościerające się od Bałtyku do Spokojnego Oceanu stworzyło się bezinteresownością i poszanowaniem praw innych ludów.

— Jakto, jakto pan to rozumiesz? — wykrzyknął mój rozmówca, Rosjanin.

— Aboście moskale, psiajuchy, rabusie z waszemi wspólnikami szwabami! — chciało mi się zawołać na całe gardło, lecz wstrzymałem się, zapanowawszy nad sobą.

— Panowie! żadnych poważnych rozmów, zabraniam to stanowczo, — wyrzekł przechodząc do nas powszechnie kochany przez nas lekarz. — Proszę nogę swoją położyć oto tak, — dodał, podkładając pod moją nogę puf (sprężynowy taboret) — jej szkodzi być tak opuszczoną.

Ta dobroć i troskliwość naszego opiekuna, przyprowadziła mnie do równowagi i po jakimś czasie, wstawszy na moje szczudła udałem się na promenadę po pokoju, podchodząc po kolei do rozmawiających.

„... Więc, posuwając się w tej ciemności, poczuł, że głową zawadził o coś wiszącego, spojrzał do góry, a nad nim wisielec. Uderzył głowa o jego nogi, a obok w kącie siedzi olbrzymia jak pies, żaba z wyszczerzonemi ślepiami, naturalnie że w postaci tej żaby był nie kto inny, tylko upiór...

— Fe! świństwa takie — pomyślałem, odchodząc ze wstrętem od tych, co rozmawiali o tak nie estetycznych rzeczach.

Dla nieznających się na stosunkach rosyjskiego ludu wytłumaczę że w Rosji jest zwyczajem, że w noc wigilijną opowiadają sobie najstraszniejsze i najokrutniejsze rzeczy, wtedy kiedy lud katolicki i polski śpiewa swoje rzewne kolendy i pastorałki Nigdy nie mogłem zrozumieć, co mogło u nich wywołać taki zwyczaj To się nazywa świątecznemi opowiadaniami!

Przykulałem na swoich szczudłach do grupy następnej. Tutaj rozmowa toczyła się na temat upadku P. Artura.

— A ja wam mówię, że to nic, tylko zdrada — uporczywie twierdził pessymistycznie jeden z rozmawiających.

— Panowie! — wtrąciłem — twierdza na wpół nie dokończona, wytrzymująca 8-miesięczne prawidłowe oblężenie, przy czem ostatnie kilka miesięcy pod ogniem 11-calówek, skapitulowaszy po zjedzeniu ostatniego sucharu przez załogę, nie może być uważana za zaprzedaną i z całą stanowczością oponuje przeciw takim oskarżeniom.

— A jak się wam podobają Japończycy — odezwał się optymista! — Prywatną własność w całości pozostawiono oficerom poddanej załogi. Nawet szable pozwolono zatrzymać im przy sobie.

— Tak, tak — zgodzono się powszechnie — to są prawdziwi samuraje (szlachta, po japońsku), Japończycy są prawdziwemi dżentelmanami świata.

— Łukasiewicz! śpiewać! Łukasiewicz! śpiewać! — rozległy się wołania na sali, przerywając nam naszą gawędę.

Poczuwszy się zmęczonym tą niedługą podróżą, powlókłem się się do swego taburetu aby spokojnie, bez natężenia wysłuchać produkcji wokalnej Łukasiewicza.

Łukasiewicz, jeden z nas rannych tu obecnych oficerów — porucznik od strzelców. Polak, rodem z Kijowa, miał nogę przestrzeloną w stopie i oko wybite odłamkiem drobnym od szklanki szrapnelowej.

Był to wesoły i koleżeński chłopak i bynajmniej nie obrażał się na nas, gdyśmy, żartując, śmieli się z niego, mówiąc, że mu do oka wpadła „Szymoza“. Szymoza był modnym wyrazem w armji rosyjskiej podczas tej wojny Szymoza to „Clou“ w arsenale uzbrojeń japońskich, wytoczonych przeciw nam w tej wojnie.

Był to pocisk bryzantowy (burzący), nadziany materjałem wybuchowym szczególnej siły, wynaleziony przez japońskiego chemika Szymose'go. Po wybuchu dawał czarny, gęsty, długo nie rozchodzący się dym. Osobiście przekonałem się, podczas bitew, z jaką precyzją używali Japończycy tego rodzaju pociski, szczegól-

Chrystus w mieście.

A gdyby Chrystus wszedł w nasze miasta,
Pragnący napić się z dzbanka,
Czyby mu dała wody niewiasta,
Jak ongi Samarytanka?

Czyby w jedwabiach sukni obcisłej
Runęła na bruki drżąca?
Czyby zatrute użyciem zmysły
Poznały światło idące?

Czyby otwarły się Mu dancingi,
Sypiące klejnotów girlandy?
Czyby miast cytar, zamiast formingi,
Witały Pana jazz-bandy?

Czyby tłum krwawy, tłum podburzony,
Krzyczący: — Wolność ocalmy!
Na widok Zbawcy umilkł zciszony
I w mściwe ręce wziął palmy?

Czyby na giełdzie, w chramie pieniądza
Wśród gwaru krzyczącej tłuszczy
Mogła usłyszeć ogłuchła żądza
Głos wołający na puszczy?

Tłumy, jak lawa coraz ognistsza
Płynąca w alejach kubów,
Nie zobaczyłyby w mieście Mistrza,
Jak idzie w gronie Cherubów.

Hanna Zaharska.

Gość.

Miało się pod wieczór. Śnieg prószył, otulając świat cały leciutką pokrywą bieli. Przed gankiem domostwa pana Podstolego, raźno krzątali się parobcy, odmiatając podjazd. Spodziewano się po wigilji licznych gości.

W izbie jadalnej, zastawionej staremi meblami pamiętającemi jeszcze ostatniego króla Jagiełłę, krzątały się dwie choże córy Podstolego, zagadując często o tem i o owem.

— Pamiętaj Oleno o sianie, które włożymy pod obrós.

— O jej, jakaś ty zrzędliwa. Wszak nie zapomnę: słuchaj Magda, a jak myślisz, kto przyjedzie? Ciekawa jestem bardzo.

— Zobaczymy. — Olena wybiegła, do przyległej izby dopilnować pieczystego, tymczasem Magda podeszła do małego okienka, pokratowanego w drobne kwaterki i spojrzała na świat...

Poza zajazdem, ciągnęła się długa, polna droga, wysadzana po obydwu stronach topolami. Droga gubiła się w mroku. Gdzieś w oddali błyskało maleńkie światełko To dom Montwiłłów. Oczy dziewczyny były smutne w tej chwili jakby oczekując odpowiedzi od tej tajemnicą osłoniętej drogi.

— Nie dla niej radość. Rok już mija, a jej Zbigniew z wiedeńskiej nie wrócił wyprawy. Powiadają, że Turczyn, zagarnąwszy go w niewolę, już żywego niewypuścił.

Marzenia Magdy przerwał wesoły podźwięk dzwonków sanek, który zwiastował czyjeś przybycie.

Przed ganek zajechały sanie. Chłopcy rzucili się to do koni, to pomagać panu Podstolemu wymotać się z futer i koców. Inni wreszcie jęli wynosić z głębi sań przeróżne paczki i zawiniątka.

Czego by tam nie było!

Rozmaitego rodzaju bakalje wschodnie, łakocie, prezenty, po które pan Podstoli jeździł do miasteczka.

— Tylko mi z tem ostrożnie — zaperzył się na służbę. — Nie wiecie, jaką specjalność niesiecie.

Chłopcy nieśli więc we dwóch starannie opakowany wielkości koła młyńskiego przedmiot zogromną ostentacją. Postawili go na wielkim stole, a pan Podstoli rzekł do witającej go małżonki:.

— A, to prezent dla jejmości. Tego nie wydołasz zrobić w domu pomimo wszystkie sekrety babskie.

Pani Agata, czuła się dotknięta, ale ciekawość przemogła w niej chęć dąsania się, poczęła więc powoli rozwijać tajemniczy przedmiot

Był to olbrzymi piernik, przemyślnie ozdobiony przez toruńskich piekarzy. Na środku widniał wysadzany orzechami inicjał pani domu.

Tajemnica się wyjaśniła. Powoli wszyscy poczęli się rozchodzić do swych zajęć, zwłaszcza, że jeszcze tylko chwil kilka pozostawało do pierwszej gwiazdy.

Zgromadzono się przy stole w pokaźnej liczbie. Cała rodzina, służba, wszystko we wzorowej harmonji.

Pierwszy głos zabrał pan Podstoli, odmawiając po zwyczaju krótką modlitwe. A później wziął talerz z opłatkami i począł obchodzić po kolei wszystkich, łamiąc się i składając życzenia. Raz poraz sięgał do pasa po czerwoną fularową chustkę i ocierał z hałasem nos, dotykając niekiedy nieznacznie kąciki ócz.

Antek z czeladnej opowiadał później, że widział, jak się jegomości łzy w oczach kręciły. Ale może tak mu się tylko przywidziało.

— A tobie panno, dziewko moja najmilej życze — zwrócił się z koleji do starszej córki, aby się zjawił zacny rycerz, któryby cię odebrał rodzicom.

Na słowa te potoczyły się Magdzie łzy, że nie mogąc zmóc rosnącego w niej żalu, uciekła wypłakać się do panieńskiej alkowy.

Po obfitej wieczerzy usunięto stoły i nakrycia, przyniesiono małe drzewko jodłowe, ozdobne w maleńkie stoczki w lichtarzykach i inne wspaniałości i poczęto kolendować.

Pan Podstoli zaintonował tubalnym głosem:

„Wśród nocnej ciszy...“

a w ślad za nim poszli inni. Więc jejmość ze swym piskliwym głosem, więc panny ze swemi dyszkancikami w końcu czeladź.

nie na początku bitwy przy braniu „w widełce" (po przystrzeliwaniu się) nieprzyjacielskiej pozycji.

Łukasiewicz miał bardzo ładny głos, tenor — i będąc miłym współbiesiadnikiem, zaraz sypnął nam szereg swoich „numerów". Przypominam sobie, że w tym repertuarze było „para gniedych" (gniadych) — realistyczna pieśń utworu Niekrasowa i nasz „Jontek" Moniuszki. Po rzęsistych oklaskach, którymi był nagrodzony śpiewak, jedna z sióstr, młoda, z zadartym noskiem fryga, zaproponowała urządzić taniec „krzywych" lecz była zgromioną przez lekarza za tak niezręczny żart.

— No, to zaśpiewajmy studencką „Wera czum" — nie uspokoiło pomysłowej siostrzyczki i wkrótce całe towarzystwo zaśpiewało krotochwilną, bardzo popularną między rosyjską młodzieżą studencką piosenkę.

Każda zwrotka kończyła się przyśpiewką: „Wiera (imię żeńskie) uroczą była".

— Panowie oficerowie! — rozległ się donośny i stanowczy głos naszego doktora. — Pamiętajcie, że wy chorzy jesteście, a już dziesiąta godzina, proszę więc już udawać się na spoczynek".

Po chwili kilkunastu rannych, szpitalnych pacjentów, postukując szczudłami i pałkami, w wesołem usposobieniu skierowało się ku drzwiom i dalej na korytarz, z którego porozchodzili się do swoich pokoji i łóżek, wzdychając jednocześnie i myśląc każdy: co się tam teraz robi w miejscach oddalonych stąd o dziesięć tysięcy kilometrów i gdzie oni pozostawili bliskie sobie osoby w kraju ojczystym.

———

Było to w roku 1915, a więc w jedenaście lat potem, podczas wojny wszechświatowej, którą właściwie należałoby nazywać wielką likwidacją szalbierskiej polityki staruszki Europy, za ostatnie półtora wieku: odbywało się to w mieście niemieckiem Han.-Munden w więzieniu dla jeńców wojennych.

*

W dużym pokoju — dwie ściany, które zrobiono z ledwie ociosanych desek — podobnym do szeregu innych, na jakie podzielono obszerne hale dawniejszej 6-piętrowej fabryki oleju, pod nazwą „Union".

Za stołami, ustawionemi w formie czworoboku, z odkrytą jedną stroną od drzwi, siedziało dwadzieścia kilka osób jeńców, w uniformie oficerów rosyjskiej armji.

Ogólna rozmowa pomiędzy nimi toczyła się w języku polskim. Przed każdym z nich na talerzu leżał dość sporych rozmiarów nieoczyszczony i niepokrajany śledź, talerz kaszy pęczkowej i pół buteleczki piwa ostatniego gatunku. W kącie stała choinka, upstrzona drobnemi elektrycznemi lampkami.

To oficerowie-Polacy zebrali się na Wieczerzę Świętą według swojego „polskiego" kalendarza.

Był to z ich strony krok dość śmiały, bo zadokumentowywał odrębność ich wyznaniową i narodową. Dowodem tego było choćby to, że kilku oficerów sztabowych nie przyszło wcale na tę wieczerzę, obawiając się wybuchu gniewu ze strony opinji publicznej, będących tutaj kilkuset oficerów-Rosjan. Bali się następstw po powrocie do Rosji. Co powie car batiuszka (ojczulek) na taką ich nielojalność, a może ich karjera mogłaby być zwichniętą.

Siedzący za stołem wigilijnym, czuli na sobie zjadliwe spojrzenia wpatrujących się przez szczeliny ścian swoich kolegów moskali,, wymyślających im w duchu od separatystów i miateżników. Ale dosyć mieliśmy Moskwy i, aczkolwiek tę wieczerzę „polską" uważaliśmy za rzecz zwyczaju religijnego, to jednak dobrze zrozumieliśmy i my i tamci, że jest to bądź co bądź pierwsze przełamanie lodów celem zamanifestowania przed światem naszej odrębności narodowej.

Nastęrowała chwila dzielenia się opłatkiem. Czuło się, że powinien być jakiś uroczysty początek, jakieś preludjum uczuć, napełniających nasze serca.

— Panie kapitanie, niech pan przemówi, niech pan przemówi, niech pan zacznie — wołano do mnie, siedzącego za środkiem stołu.

Wskazałem na siedzącego obok mnie podpułkownika (jedynego), dając do zrozumienia, że takt służbowy nakazuje mi ustąpić mu pierwszeństwa.

— Pana prosimy, kapitan Dobrowolski mówi — krzyczano ze wszystkich stron.

— Pana chcą — uprzejmie szepnął mi ppłk. Onoszko, dając mi do zrozumienia, że ustępuje mi głosu.

— Nie posiadam zdolności krasomówczej, i pochodzi to nie tyle — powiedziałbym z braku daru słów, ale z braku potrzebnej do tego, mojem zdaniem, zimnej krwi, zresztą, nie nadaję wiele znaczenia pięknym słowom, jeżeli za niemi nie idą natychmiast piękne czyny. Wolę jeden ładny czyn niż tysiąc pięknych słów.

Wstałem. Ucichło. Podniósłszy trzymany opłatek w prawej ręce, donośnie, po polsku, wypowiedziałem krótką przemowę, przewodnią ideą której było: Winszujmy sobie, kochajmy się i ... niech żyje Polska.

Dźwięk mowy ojczystej, w tak — powiedziałbym — uroczyście urzędowej chwili, wypowiedzianej przezemnie wobec zebranych oficerów w rosyjskich mundurach, zatrząsł salą.

— Niech żyje! Kochajmy się! — rozległo się ze wszech stron i wiara hurmem cisnęła się do mnie z powinszowaniami i uściskami.

Po spożyciu ubogiej materjalnie, ale bogatej duchowo wieczerzy, zakolendowaliśmy „Wśród nocnej ciszy", „Bóg się rodzi", „W żłobie leży".

Gawędziliśmy też o jasełkach, ich pochodzeniu, o jasełkach z czasów upadku Polski, by następnie przejść na wesołe tematy.

Zakończyliśmy uroczystość odśpiewaniem hymnu narodowego, naówczas jeszcze mazurka Dąbrowskiego, i zaczęliśmy się rozchodzić. Zbliżała się bowiem 9-ta godzina, czas powtórnego wieczornego apelu. Umówiliśmy się atoli co do gromadnego sfotografowania się na drugi dzień, cośmy też wykonali.

Kilku jednak z tych, co byli na wieczerzy wspólnej, widocznie słabsi duchem, sterroryzowani przez moskali, na zbiórkę do fotografowania niestety nie stawili się.

Po zdjęciu fotograficznem każdy z nas zachował dla siebie po jednej odbitce.

Zbiór mój i ona powiększa; przychodzą na pamięć smutne, a zarazem podniosłe chwile, chwile, wśród których stają przed oczyma duszy przyjaciele-towarzysze którzy jak i ja doczekali szczęścia, że wojska polskiego nosze mundur.

I możemy za sędziwym kanonikiem krakowskim powiedzieć:

„Fortuna jest zmienną,
a Bóg tworzy cuda".

Pamięci Sienkiewicza.

Henryk Sienkiewicz.

Stanisław Witkiewicz powiedział, że do roku 1863 Polacy byli jeńcami. Od roku 1863 stali się niewolnikami.

Henryk Sienkiewicz, był tym z Polaków, który zawsze czuł się tylko jeńcem, który w niewolę nigdy nie uwierzył. Dla niego był to tylko stan przejściowy. On nigdy z wrogiem nie paktował i był pewny, że Niepodległość wróci.

Ten najwolniejszy z Polaków nigdy nie ucałował łańcucha.

Twórcza jego działalność zaczyna się w okresie, gdy w Polsce zapanowuje trochę międzynarodowy liberalizm, gdy praca dla wzbogacenia się i szerzeniem nauki oraz oświaty, wśród ludu chcemy odepchnąć w zapomnienie i pamięć o przeszłości, i marzenie o zmartwychwstaniu.

Kiedy Sienkiewicz pisał, stała zawsze nad nim niewidzialnie zła i wroga siła, która paraliżowała jego dłoń w chwili, gdy kreślił ogniste głoski, wyrażające krzyk o wolną Ojczyznę. Tą siłą był cenzor rosyjski.

Nie mogąc pisać o przyszłości, w którą wierzył, jak w dogmat niezaprzeczalny, Sienkiewicz zwrócił się do przeszłości. Na przeszłość Polski wszyscy wtedy patrzyli krytycznie. Czyż nie winy i grzechy tej przeszłości doprowadziły nas do upadku? Przeklnijmy ją więc i ze sceptycznym uśmiechem, bez podstawy pod nogami i bez gwiazdy nadziei nad głową zajmijmy się naszem życiem codziennem.

Ale nie może dom stać bez fundamentu, nie może naród stać, zburzywszy pod sobą przeszłość. Jest ciągłość rozwojowa Narodu. Źle jest, gdy Naród zawsze tylko formy stare powtarza. Ale źle również, gdy się od korzeni odrywa i nie chcąc nawiązywać do swej przeszłości, nawiązuje do modnych idei zagranicy.

Sienkiewicz, ten przedstawiciel Narodu we wszystkiej jego rozciągłości w przestrzeni i czasie, chciał nam ukazać tę przeszłość świetną, roztęczoną wszystkiemi barwami byśmy ją na nowo umiłowali. W czasach słabizny, intelektualizmu, karlenia fizycznego, upodlenia i bezwoli charakterów pokazał nam typy olbrzymów, wykute ze spiżu. Wzywał milcząco, byśmy skroń ugięli przed tymi, których zarzucaliśmy kamieniami potępień...

Naród, jeżeli chce się ostać w tytanicznej walce, jaką mu losy dziejowe i położenie geograficzne narzuciły, musi stworzyć rasę ludzi potężniejszą od innych, mocarną fizycznie i duchowo. I Sienkiewicz w swoich powieściach historycznych, „Trylogji", „Krzyżakach", „Na polu chwały", w „Legjonach" daje nam szereg ludzi-bohaterów, rozpala nas ogniem podziwu, wzbudza tęsknotę za ich niezłomną wolą i szaleństwem odwagi.

Nowa rasa ludzi-olbrzymów! Nowa rasa ludzi wszechmocnych! Kiedy Sienkiewicz kreślił swe rycerskie typy z przeszłości, prowadziła jego pióro tęsknota za odnalezieniem ich w zmienionej postaci w teraźniejszości...

Potrzeba nam odrodzenia fizycznego i duchowego. Pierwsze da nam sport i obcowanie z przyrodą. Sienkiewicz był sam sportowcem — myśliwym Podróżował po Afryce i Ameryce, wszędzie polując, żałował, że nie mógł zwiedzić Indji i tam spróbować celności swych strzałów w dżungli. Znajdywał orzeźwiające, odradzające siły w przyrodzie, którą, zwłaszcza przyrodę polską, potrafił z takim kunsztem malarskim przedstawić, owiać taką niepojętą liryką miłości i tęsknoty... W powieści dla młodzieży „W pustyni i puszczy" opisał małego chłopca polskiego, mającego wszystkie zalety harcerza dzielnego, wytrwałego zaradnego.

Ale w wytrenowanem ciele, które zdolne jest stanąć oko w oko z dziką przyrodą, z niebezpieczeństwem powinna być dusza bohaterska. I żelazne postacie ojców naszych surowo i niezłomnie ukazują nam w milczeniu swe czyny i rany...

Sienkiewicz instynktem żołnierskim uwielbia tężyznę fizyczną. Czujemy jego niekłamany zachwyt dla siły Podbipięty, zręczności Wołodyjowskiego, rycerskości Skrzetuskiego, tego typowego sarmaty o orlich rysach, czarnej brodzie, sile Herkulesa w ciele Apolla. Bierze nas od razu Zbyszko ze swą prostolinijnością rozumu w garści, Roch Kowalski, szalony Kmicic. Ale nad temi zaletami żołnierskiemi, nad tą nadludzką zdolnością wykonawczą mięśni góruje moc ducha. Ona to daje zwycięstwo Skrzetuskiemu, idącemu z pod Zbaraża, ona to każe Jeremiemu Wiśniowieckiemu odnieść najtrudniejsze zwycięstwo — zwycięstwo nad własną ambicją i zrzec się władzy dla idei posłuszeństwa prawu.

Poświęcenie dla Ojczyzny do ostatniego tchu, do zupełnego zapomnienia o sobie, ofiarne bezgraniczne — oto, na czem oparł Sienkiewicz swą epopeję o potężnej przeszłości narodu. Jego typy mają najwięcej pokrewieństwa z rycerzami Słowackiego np. z Zawiszą Czarnym. Jego Aleksy Zdanoborski w „Niewoli tatarskiej" to książę Niezłomny. Jego ksiądz Kordecki — to ksiądz Marek.

Sienkiewicz uczynił swoje typy krewkiemi — są to zresztą typy bezwzględnie polskie, jakie w ziemiaństwie spotykamy po dziś dzień (jest takim Połaniecki i Krzycki w „Wirach"). Przelewa się w nich temperament i hucząca siła życiowa, a jednak są to typy bezwzględnie czyste. I romans Sienkiewicza, na który zawsze pada błogosławiące światło ołtarza (a zboczenie z dróg sakramentu jest potępione) jest prototypem tej miłości czystej, jedynej miłości kochanków na wielkim stylu, na których buduje się prawdziwa rodzina. U Sienkiewicza zawsze jest połączenie dusz, nie tylko ciał, miłość jego to zdrowie. Wielka miłość, która zmusza dla zdobycia jej, by napięły się wszystkie siły mężczyzny, by postawił na kartę wszystkie swe możliwości i wydobył ze siebie maximum wysiłku jest podstawą rasy. Gdzie jak we Francji miłość rozproszkowuje się na trójkąty i przez brak zapor moralnych, staje się zbyt łatwa, tam rasa zaczyna upadać... I typ kobiety Sienkiewiczowskiej to nie tylko wielokrotnie, choć niesłusznie ośmieszana Mary-

———

— Goście, goście! — zerwała się jak fryga z przed kominka Olena.

Istotnie z daleka dochodził odgłos dzwonków. Chłopacy rzucili się do drzwi, by dowiedzieć się, co zacz i pomóc w rozprzęgu koni. A za nimi poważnym krokiem zdążał pan domu.

Chwile oczekiwania przedłużały się w nieskończoność.

Wreszcie porzedzeni tupotem nóg i głośną rozmową, weszli do izby państwo Montwiłłowie, a za niemi ktoś trzeci. — Rycerz w krasnym kontuszu, naszywanym suto, przy boku zakrzywionego na modłę turecką mieczyka, nabijanego drogocennemi kamieniami, od których szły iskry na całą izbę. Podszedłszy na środek komnatki, pokłonił się grzecznie.

Pan Montwiłł nie omieszkał powiedzieć:

— Przedstawiam zacnym sąsiadom mego syna, cudem powróconego rodzinie i krajowi z szponów poganina

Zaczęły się gorące powitania, głosy zdziwienia krzyżowały się w powietrzu, niczem szpady rycerstwa na turnieju lub w walce „na pojedynki". Nikt nie zauważył wielkiej bladości Magdy która też rychło stanęła przed oczyma ciekawych.

Młody Montwiłł szukał kogoś wśród obecnych, a nie znalazłwszy, począł okazywać wielką alternację.

Widząc to gospodarz, a domyślając się powodu owej konsternacji pana Zbigniewa, poszedł do drzwi i zawołał w głos:

— Magda, Magda, gdzieś się podziała, patrz kto przyjechał!

Dopiero teraz odważyła się panienka wyjść do niespodziewanego gościa, choć znać było, że wzruszenie nie opuściło jej do cna.

Powoli zaczęto ogólną rozmowę każdy pragnął zabawić jaknajlepiej gości, nie zwracano tedy uwagi na Magdę i Zbigniewa.

Usunąwszy się w cień, który rzucał wystający wykusz kominka zatonęli w lubej rozmowie. Pytaniom nie było końca. Zbigniew opowiadał swe koleje. Niewolę w Stambule u beja tureckiego, o jego namowach porzucenia wiary i mowy, wreszcie o swej ucieczce w śród nocy przez stepy, lasy i opustoszałe pola.

Tak zapatrzeni byli w siebie i sobą tylko zajęci, że nie zauważyli przeróżnych igraszek z niedźwiedziem przybranym, która to swywole przygotowała służba czeladna gwoli rozweselenia gości i gospodarstwa, nie zauważyli, jak czas biegł chyżo i kiedy wreszcie nadeszła pora na pasterkę.

Zbudził ich dopiero głos pana Podstolego.

— No, a teraz czas do kościoła.

Zaczęto ubierać się w futra i suto podbijane bekiesze, gdyż mróz doskwierał setny.

Z galanterją Zbigniew usłużył damom, pomagając otulać im się szczelnie.

Przed pojazd zajechały sanie, w których poczęto się sadowić.

Zdarzyło się, że Magdzie wypadło miejsce obok Zbigniewa, w malutkich saneczkach.

Czas był mroźny. Powietrze czyste, ciche, nie zamącone wiatru powiewem. Śnieg przestał padać.

U przodu sań zatknięto smolne pochodnie, które sycząc i pryskając, rzucały na białe łany śniegu szerokie migotliwe koła.

Dużo czasu upłynęło, nim się wszyscy usadowili wygodnie. Pan Podstoli na końcu obejrzawszy wszystko, krzyknął na woźnicę z pierwszych sanek:

— No, ruszamy z Bogiem.

Konie parskając, ochoczo pomknęły przez wyściełoną śniegiem drogę.

Zbigniew sam kierował końmi, co mu nie przeszkadzało raz po raz spoziera ć na Magdę.

A musiało być w tem spojrzeniu coś osobliwego, że się dziewka płoniła, garnąc się do rycerza.

Konie mknęły jak wicher, ino się podkowy błyskały w świetle pochodni. Pęd powietrza zapierał im oddech, odurzając jakiemś silnem krzepkiem rozmarzeniem.

Mijali w biegu topole przydrożne: był to raczej pęd jakiś słoneczny, a nie jazda. Im się zdawało, że lot ten niema kresu...

nia Połaniecka, to nieugięta Oleńka, wojownicza Baśka, ponosząca trudy niekobiece dla swej miłości Helena...

Obok tego wszystkiego, jest Sienkiewicz jedynym wyraźnie katolickim pisarzem polskim. Zaraz staje nam przed oczami „Quo Vadis", utwór o skończonej cyzelacji wazy antycznej, w której płonie myrra ekstazy chrześcijańskiej. W epopei historycznej Sienkiewicz był rapsodem ofiary patrjotycznej. Tu stał się rapsodem ofiary religijnej, ofiary dla prawdy wiecznej...

Na łoża zasypane kwiatami, na rozpustnych biesiadników, na drogocenne amfory i kratery napełnione winem pada światło z początku ciche, potem coraz jaśniejsze, aż wszystko ginie w olśniewającem morzu glorji...

Głębokie wzruszenie, ekstaza przedziwna ogarnia nas, gdy idziemy na arenę amfiteatru w tłum męczenników....

Sienkiewicz nie tylko w „Quo Vadis" dał ludzi-chrześcijan. Jego rycerze ze swą gołębią prostotą, ofiarnością, przebaczeniem dla wrogów, gorącą pobożnością, naginaniem swych rogatych dusz do przykazań pokory są prawdziwymi chrześcijanami. Przebaczenie Skrzetuskiego dla Bohuna, Juranda ze Spychowa dla mordercy Danusi... Kiedy pisał te przedziwne karty, jasne duchy z zaświata całowały jego skroń...

Sienkiewicz rozumiał, że lud jest podstawą narodu. I krzywda oraz własna ciemnota ludu ciężkim kamieniem leżały mu na sercu. „Trylogja" już poszła w lud i stała się ulubioną lekturą oświeconego gospodarza na wsi. W chwili narodowych wspominek wieś powinna przycisnąć do serca te książeczki, bolesne, jakiemi są „Szkice węglem", „Janko muzykant", „Bartek zwycięzca".

Szczególniej ten utwór ostatni, dokument pruskiego gwałtu i bezdennej głupoty politycznej polskiego chłopa w owych czasach, powinien znaleźć się wszędzie na wsi.

Ten ci był człowiek prawy, który, stojąc ponad partiami, ogarniał c a ł o ś ć O j c z y z n y, wszystkie dzielnice, wszystkie odłamy narodu. Odznaczony nagrodą Nobla, znany w Europie zabierał głos wszędzie, gdzie Ojczyźnie działa się krzywda. W żadnej z prac ogólno-narodowych go nie brakło. Nie wszedł do Niepodległej Ojczyzny — umarł u samego jej progu.

A teraz wrócił do Wyzwolonej, wrócił do Zmartwychwstałej ten, co nigdy w niewolę nie uwierzył...

H a n n a Z a h o r s k a

Znaczenie Sienkiewicza.

Do koła każdego zjawiska wybitnego w literaturze zbiera się cały szereg sądów i opinij tak zwanych popularnych, które zamiast rozjaśniać daną kwestję, zaciemniają ją i czynią mniej zrozumiałą.

Uwagę tę zastosowaćby można również w odniesieniu do osoby i twórczości Sienkiewicza. Cały szereg komunałów głosi, że znaczenie Sienkiewicza jest ogromne, że wpływ, który wywarł był niebywały, ale jakie były granice tego wpływu i w jakim stosunku stał naród do swego wielkiego nauczyciela, tego naogół nie chce się zgłębić.

Epoka, w której przyszło Sienkiewiczowi rozpocząć swoją działalność pomimo wszystko była epoką największego upadku duchowego Polski. Wszelkiemi siłami starano się wszczepić w naród przekonanie, że jedynie praca o praktycznem założeniu, praca pozytywna dać może narodowi jakie takie uspokojenie i ulgę w naporze wynaradawiania. Usiłowanie wrogów znalazło podatny grunt w ogólnoeuropejskich prądach filozoficznych z oburzeniem odrzucających myśl o idealiźmie czy rzeczach nierealnych.

Prądy te z podbudową filozoficzną pracy organicznej, naturalnie odpowiednio zabarwionej przez „ugodowców", zaczęły się zwolna zakorzeniać w społeczeństwie polskiem, trafiając tam na podatny grunt znużenia i ogromnego wyczerpania woli i inicjatywy. Zrezygnowano z wszelkich daleko idących projektów, a z dziwną krańcowością rzucono się do stosowania w życiu zasad pracy organicznej. Niektórzy nawet szli w tem za daleko, zniżając się do upokorzenia wobec rządów zaborczych, byleby tylko można było uzyskać jakie takie warunki pracy na polach praktycznych.

Wyobraźmy sobie taki stan rzeczy i zważmy, że było to w przeddzień wielkiej wojny — wojny ludów, która miała dać Polsce wolność. Jakżeż wyglądałoby to społeczeństwo w chwili zmartwychwstania narodów — jeśliby stan apatji trwał dalej?

I na tą chwilę, chwilę ciężką, beznadziejną wprost, przychodzi postać Sienkiewicza.

I on był zrazu pod wpływem pozytywistycznego prądu i on wyznawał program pracy organicznej — ale ten człowiek skupiając w sobie wszystkie bohaterskie pierwiastki narodowe, przekazane przez nieosłabioną jadem zwątpienia, tradycję, nie mógł się zgodzić na metody i środki, jakich imała się większość społeczeństwa w realizowaniu programu pracy pozytywnej. Cała jego natura buntowała się przeciw temu pesymizmowi, który tkwił głęboko w nastroju pozytywnie usposobionego ogółu. Nie mógł się zgodzić na zgon idealistycznego spojrzenia na świat — a że czuł w sobie zdolność zabrania głosu, więc zaczął tworzyć.

Ale twórczość jego w swej negacji pesymizmu i upadku ducha nie była głośnem hasłem, nie była tyradą słów grzmiących a napuszonych dydaktyką — wręcz przeciwnie! Wyszedłszy z pierwocin odpowiadających w ogólnym zarysie poglądom istniejącym powoli dopiero stwarzając artystycznie skończone powieści dawała negatywny obraz współczesnego społeczeństwa. Sam Sienkiewicz w początkach swego zawodu pisarskiego może nie uświadamiał sobie drogi jaką należało mu kroczyć, aby pomóc narodowi.

Wtenczas budzi się w nim świadomość, że należy szukać podźwignięcia ducha Polski w odtworzeniu minionych wielkich chwil historji. Może nie tyle wielkich chwil, ile tego bohaterskiego idealizmu nasiąkniętego wiarą w powodzenie dobrej sprawy, idealizmu, który nieodstępował Polaków w najcięższych nawet opresjach.

Powiadacie, że położenie nasze jest bez wyjścia, że ze wszech stron otoczeni jesteście przemożną siłą wroga I dlatego straciliście ducha? Wstyd! Oto nad potopem nieprzyjacielskiego motłochu jaśnieje Jasnagóra — ta ostatnia placówka niczem niezachwianej Wiary. Od niej od tej reduty bohaterstwa i woli rozeszła się silna fala zwycięstwa sprawy słusznej.

Gdzie wasza reduta wiary? Gdzie wasza Jasna Góra? Czy myślicie, że niewypełniona wiara gorąca serc waszych da wam zwycięstwo? Przenigdy zaleje was Potop i utoniecie wy potomkowie owych wielkich książąt niezłomnych.

I obok olbrzymich wyidealizowanych oddaleniem i szczerością artystyczną twórcy — stanęło pokolenie kartów.

Kontrast był bolesny i godził w dumę narodową śpiącą w duszach społeczeństwa. Zaczyna się ferment. Strumień zbawiennych rad, wielkiej nauki przeszłości jaka płynęła z „Trylogji" — usposabia naród na inną modlę, obok usiłowań podniesienia ekonomicznego kraju zaczyna się wkradać do dusz zdrowy optymizm i wiara w lepsze Jutro.

Po swoich wielkich powieściach historycznych daje Sienkiewicz w „Bez dogmatu" i „Rodzinę Połanieckich" obraz największych chorób obecnego pokolenia, z przenikliwością rozumnego lekarza wywołuje na światło dzienne niedomagania, apatię, która jest zmorą ludzi, a która doprowadzić może do wielkich nieszczęść.

To dobre ziarno złotego posiewu padło na podatny grunt. Siła sugestywna wielkiej epopei wiary zaczęła zbawiennie działać na uświadamiające sobie swe błędy społeczeństwo i powoli przygotowywało grunt pod zagon przyszłego zwycięstwa.

Jeśli jesteśmy zdolni obecnie podołać ciężarom, jeśli byliśmy zdolni głośno upomnieć się o swe prawa, jeśli Polska zmartwychwstała — to zasługa w tem leży w wielkiej mierze w Sienkiewiczu.

Ta wiara, jaka zapadła nam w serce przy czytaniu „Trylogji" nurtowała długo w sercach naszych aż wreszcie wybuchła przejasną lawą twórczego czynu.

Że czyn ten uśpiony potrafił Sienkiewicz obudzić — w tem jest jego wielka nieśmiertelna zasługa. **J. K.**

Dr. K. KROTOSKI.

Mieszczaństwo polskie w Polsce przedrozbiorowej. *)

I.

Grody polskie.

O miastach w Polsce mówić można dopiero w XIII wieku, o mieszczaństwie polskiem dopiero w XV lub XVI wieku. Przedtem istniały w Polsce od początku jej istnienia tylko grody książęce i podegrodzia z ludnością w części niewolniczą, oddaną posługom księcia oraz wolną, złożoną z urzędników książęcych, lub drużenników książęcych.

Przy prastarym grodzie poznańskim, tam, gdzie dziś stoi nad starą Wartą kościół Marjacki i Psalterja, istniało podegrodzie, zwane ongi Środą, później Śródka od targów, odbywających się tutaj stale w środę od czasów zapewne Miszki tj. Mieszka I. Nie należy zapominać, że za czasów Mieszka i Chrobrego Poznań, tak samo jak Gniezno, Giecz i Włocławek, był obozowiskiem, mieszczącem po kilka tysięcy drużenników z żonami i rodzinami. Było więc komu sprzedawać. Przybywali więc na targi środowe goście, t. zn. kupcy z bliska i daleka. Że kupcy z daleka przybywali do Poznania na targi, o tem świadectwo daje skarb z pieniędzmi arabskiemi z XIII i IX wieku, wykopany blisko Malty w Łacznym Młynie.

Geneza miasta Poznania.

Mimo to o mieście Poznaniu można dopiero mówić od r. 1231, kiedy Władysław Odonicz w podegrodzie Śródce osadził na prawie niemieckiem za pośrednictwem sołtysa Henryka z pod Trzebnicy. Ponieważ jednak na prawym brzegu Warty miasto nie mogło się należycie rozwinąć, przeto dopiero w r. 1253 za rządów Przemka I i Bolesława Pobożnego powstało na prawie magdeburskim dzisiejsze miasto Poznań po lewym brzegu Warty za sprawą lokatora czyli zarządcy, a później wójta Tomasza z Gubna.

Wójtostwa.

Dziedziczny wójt miasta stawał się panem całą gębą, obok pewnej ilości łanów (5—6 po 60 mórg) na własny użytek stawał się on właścicielem różnych sklepów, jatek, młynów, ogrodów, pewna część czynszów, opłacanych przez mieszczan na rzecz księcia, przypadała jemu (1/5 lub 1/6), nadto pobierał 1/3 kar sądowych. Nadto ze swych posiadłości nie opłacał żadnych czynszów, był tylko zobowiązany jakby lennik do służby wojskowej na rzecz księcia. Olbrzymią wartość posiadało też na owe czasy dziedziczne wójtostwo, które sprzedawać lub testamentem przekazywać dowolnie miał prawo wójt. Jeżeli z początkiem XV wieku cały kompleks dóbr ziemskich można było nabyć za 2 600 grzywień, to w tym samym czasie wójtostwo olkuskie sprzedaje się za 1 800 grz., wielickie przedstawia wartość 2 900 grz., lubelskie 2 500 dukatów, sądeckie 2000 grz. Najważniejszym przywilejem wójta był przywilej sądowy. Na podstawie niego rozsądzał on wszystkie sprawy w mieście, tak cywilne, jak kryminalne na **sądach zwyczajnych**, które się odbywały raz na tydzień przy współudziale 7—11 ławników czyli sędziów przysięgłych. Trzy razy w roku odbywały się **sądy wielkie**, na których przewodniczył nie wójt, lecz pan miasta lub jego zastępca np. burgrabia, stąd te **sądy burgrabskiemi** się nazywały. O ile chodzi o wójta i jego sprawy wójtowskie, to podlegał on sądowi równych sobie, a zatem złożonemu z 7 sołtysów i wójtów pod przewodnictwem pana, względnie jego pełnomocnika. Były to t. zw. sądy **leńskie** w Małopolsce i na Rusi. W Wielkopolsce tej instytucji nie znano. Zwykle sądem wyższym dla mniejszych miasteczek były ławy lub rady miast większych. Więc np. miasteczko Solec koło Bydgoszczy, lokowane r. 1323, w razach wątpliwych udawało się po pouczenie prawne czyli ortyl (Urteil) do Włocławka, a gdy Włocławek nie mógł udzielić pouczenia do Torunia lub Chełmna. Większe miasta po ortyle udawały się wprost do Magdeburga. Aby temu przeciwdziałać, Kazimierz Wielki r. 1356 zakłada sąd **wyższy prawa niemieckiego w Krakowie**, na zamku, który miał być sądem leńskim dla wójtów i sołtysów. Najwyższą zaś instancją w sprawach miejskich dla Małopolski miał być t. zw. **sąd sześciu miast**, złożony z 6 ławników, wybranych przez Kraków, Kaźmierz, Sącz, Bochnię, Wieliczkę i Olkusz. Dopiero w XVI wieku sądy rzeczone straciły znaczenie na rzecz sądu królewskiego, zwanego **asesorskim**.

Stanowisko wójta dziedzicznego po miastach było bardzo potężne i dla tego stawało się ciężkiem dla mieszczan. Stąd przychodziło do sporów między wójtem a radą miejską i mieszczanami. Najlepszym środkiem do zakończenia ustawicznych sporów między wójtem a miastem było wykupienie wójtostwa przez miasto. Za pozwoleniem księcia różne miasta stają się w całości lub w części właścicielami wójtostw, a w miejsce wójtów rada miejska przejmuje ich prawa i obowiązki. Niektóre sprawy sama załatwia, inne przekazuje przez siebie na pewien czas **mianowanym wójtom sądowym**. W Krakowie np. Władysław Łokietek po buncie wójta Alberta skonfiskował całe wójtostwo dziedziczne i mianował na krótszy lub dłuższy czas wójta sądowego, który się zwie **wójtem książęcym**. Obok niego istnieje wójt miejski; pierwszy pobiera 1/3 kar sądowych, drugi 2/3 tychże. Aby odzyskać całe sądownictwo wójtostwa, Kraków oddzierżawił od króla jego część sądownictwa, wreszcie roku 1475 zakupuje je na własność za 1000 grzywien.

Wójt staje się wobec tego tylko funkcjonarjuszem miejskim, a ponieważ radca miejski nie może być wójtem, więc nawet sąd miejski ławniczy emancypuje się z pod jego wpływu. Kiedy zaś w wieku XVI starszy ławny, t. zw. senior stał się przywódzcą pospólstwa i organizacji 40 mężów, wtedy r. 1552 rada miejska przyznała starszemu ławcy wyższość nad wójtem. W XVI wieku wrócił wójt w Krakowie znowu na pierwsze miejsce w sądzie ławniczym, albowiem „wójt to jakby Chrystus, a ławnicy jego uczniowie. A jakżesz Chrystus może na niższem miejscu siedzieć, anizeli uczeń?"

Podobnie działo się w innych miastach królewskich i prywatnych. Wójtostwo wykupił król i włączył je do starostwa, a w prywatnych wykupywali je panowie, a sądy wykupywali przez podwójcich.

W szeregu miast królewskich rada miejska pozostała właścicielką wójtostwa i mianowała wójta sądowego jako funkcjonarjusza miejskiego.

Rada miejska. Przez radę byli wybierani ławnicy i starają się stać dożywotnimi, domagają się by z ławników tylko wybierano członków rady. Wszędzie też ławnicy obok rady stanowią stan odrębny, drugi obok rady i rekrutują się zwykle z najbogatszych kupców.

Już w XIII wieku po nad wójtostwo wyrasta rada miejska i obejmuje ster rządów po miastach w Polsce opiera się zaś na następującem pouczeniu samego Magdeburga, przesłanem r. 1261 mieszczanom wrocławskim i księciu Henrykowi III. Kiedy Magdeburg lokowano, to dano mu prawo do swoich wilkierzy, wtedy uradzono, że wybierają radnych na rok, ci złożyli przysięgę i składają ją każdego roku, kiedy oni nowych wybierają, którzy mają strzec praw miasta, jego czci i pożytku jak mogą najlepiej i umieją, z radą najmądrzejszych mężów". **W końcu XIII wieku wszystkie miasta mają radę, która występuje do walki z wójtami** i z poparciem książąt zdobywa sobie decydujący wpływ w mieście.

Kto wybierał średniowieczną radę miejską? W Magdeburgu ustępująca rada wybierała nową, a tak samo we wzorującym się na urządzeniach magdeburskich Wrocławiu i Krakowie. Po buncie wójta Alberta r. 1312 rada krakowska utraciła swój przywilej i książę przeprowadza przez swoich pełnomocników wybory. Kazimierz W. postanowił, że „gdy przyjdzie czas wyborów w Krakowie, ma nasz wielkorządca i wojewoda krakowski naznaczać rajców w połowie z ludu rzemieślniczego, a po połowie z innych mieszczan i kupców". Dopiero r. 1677 odzyskała rada krakowska prawo wybierania nowej rady, jak przed r. 1312. Faktycznie jednak **tylko najmożniejsze rodziny stawały się radzieckiemi**. A i to koło stara się rada zacieśnić, utworzyć zamknięte kółko uprawnionych do rządzenia miastem. Wśród nie obok **rady nowej**, rządzącej odgrywali pewną rolę rajcy dawniejsi, którzy służyli nowej radzie swem doświadczeniem, stanowili jej radę przybraną. W początkach XV wieku ustalił się w Krakowie zwyczaj, że pełna rada składa się z 24 członków, czyli z trzech rzędników; z pośród nich tylko wojewoda mianuje na każdy rok radę urzędującą, złożoną z 8 członków, reszta radców tj. 16 tworzą t. zw. **starą radę**, przyboczną dla urzędującej. Pełna zaś rada później pod wpływem humanizmu nazywa się **senatem**. W ten sposób godność radziecka stała się dożywotnia i ograniczona do zamkniętego kółka 24, złączonych pokrewieństwem i różnemi interesami. **Rada stała się instytucją na wskroś arystokratyczną**, zamknęła się w korporację konsularną czyli senatorską. Po roku 1677 nie wiele się zmieniło, usunięto tylko formalną **władzę wojewody** zatwierdzania 8 radców, urzędujących odtąd pełna rada sama pośród siebie wyznacza co roku 8 radców urzędujących, i sama kooptuje do owego grona nowych członków na miejsce zmarłych.

---

*) Jan Ptaśnik. Miasta w Polsce. Ks. Likowski. Książęce miasto Poznań.

Ciężką, niepowetowaną stratę poniósł Bank Związku Spółek Zarobkowych przez śmierć prezesa swego

ś. p.

Dr. Józefa Englicha

który rozstał się z tym światem dnia 22 grudnia 1924 r.

Nad stratą tą boleje instytucja nasza, która niezwykłej inteligencji i zdolności, niespożytej energji i sumienności ś. p. Zmarłego zawdzięcza w wysokim stopniu swój rozwój i dzisiejsze znaczenie.

Śmierć nieubłagana wydarła społeczeństwu wielkiej miary obywatela, rodzinie najlepszego męża i ojca, Bankowi naszemu niestrudzonego, sprężystego kierownika.

Cześć Jego pamięci!

Kurator i Rada Nadzorcza Banku Związku Spółek Zarobkowych.

2852

ś. p.

Dr. Józef Englich

długoletni Prezes Zarządu a ostatnio Prezes Rady Nadzorczej

naszego Banku zakończył życie w poniedziałek, dnia 22 grudnia 1924 r.

W ś. p. Zmarłym tracimy kierownika, świadomego swych zadań, wytrwałego w drodze do zamierzonego celu, niestrudzonego w pracy, zwierzchnika sprawiedliwego i wyrozumiałego.

Pamięć o Nim nie zaginie w nas, działalność Jego będzie dla nas wzorem.

Pogrzeb odbędzie się z gmachu Banku Związku Spółek Zarobkowych przy placu Wolności 15, dnia 25 grudnia r. b. o godzinie pół do drugiej.

Zarząd i pracownicy Banku Związku Spółek Zarobkowych.

2851

C. M. Powałowski

Grudziądz

Telefon 191 — Toruńska 4, (Plac 23 Stycznia) — Telefon 191

Pierwszorzędny dom bławatów :: Konfekcji :: Artykułów męskich :: Bielizny męskiej :: Bielizny damskiej

poleca po bardzo tanich cenach

Materjały wełniane i bawełniane

Artykuły męskie

Bieliznę męską

Bieliznę damską

Konfekcję damską i męską

Olbrzymi wybór! Usługa fachowa!

2835

Obwieszczenia urzędowe władz miejskich.

Według prawa prasowego odpowiada za dział niniejszy

nadsekretarz miejski Dunszy Rzeszkowski w Grudziądzu

Licytacja drzewa.

W czwartek, dnia 8 stycznia 1925 r. odbędzie się w leśnictwie miejskiem Rudnik, sprzedaż drzewa opałowego oraz drągów użytkowych i wikliny. Sprzedaż drzewa nastąpi tylko za gotówką.

Grudziądz, dnia 23 grudnia 1924 r. [2845

Magistrat - Zarząd Leśnictwa.

Kalendarz nauczycielski na rok 1925

obejmuje:

1. Kalendarz na rok 1925.
2. Spis wszystkich osób, pracujących w szkolnictwie pomorskiem (szkoły powszechne, gimnazja, seminarje nauczycielskie, szkoły rolnicze, zawodowe).
3. Skróty rozporządzeń Kuratorjum Okręgu Szk. Pomorskiego i Ministerstwa W. R. i O. P.
4. Ogłoszenia. 2820

Ważne dla pp. Nauczycieli i Przedsiębiorstw handlowych.

Cena egz. z przesyłką i za zaliczeniem pocztowem **2.50** złp.

P. T. Księgarnie otrzymują rabat księgarski.

Zamówienia prosimy skierować do:

Spółki Pedagogicznej T. A.

Filja **Tuchola** (Pomorze)

Wyprzedaż

gilz, bibułek, fajeczek, cygarniczek, papierośniczek, tytoniarek

jakoteż taśmy do kas kontrolnych. [2842

Jan Tynecki, ul. Sienkiewicza 7. Tel. 602.

NAPRAWĘ

elektrycznych instrumentów pomiarowych, aparatów elektrycznych, aparatów do grzania, naczyń do gotowania, motorów i prądnic elektrycznych uskuteczniają

Inż. Grabowski i Kołodziej

wytw. aparatów elektrycznych

Grudziądz, ul. Groblowa nr. 50.



Na święta poleca w wielkim wyborze:

pierniki, specjalność: bonboniery

2707 właśc. **W. Banaszak, Grudziądz**

Mickiewicza 4 **Telefon 965**

Kasa Pożyczkowa w Łasinie

Spółka zapisana z nieograniczoną odpowiedzialnością.

Aktywa — **Bilans z 31 grudnia 1923** — Pasywa

M	fen.	Aktywa	Pasywa	M	fen.
533.345	—	Stan kasy	Udziały pozostających członków 286.587.76		
11.500.000	—	Weksle dyskontowane			
25 000	—	Papiery wartościowe	Udziały występujących członków . 4.978,82	291.566	58
150	—	Inwentarz			
			Główny fundusz rezerwowy	102.175	49
			Specjalny fundusz rezerwowy	12.840	04
			Oszczędności	10.172.575	74
			Oszczędności domowe	89.442	14
			Aserwaty	829.010	47
			Wierzyciele	23 035	—
			Fundusz różnic bilansowych	21.100	—
			Zaległe odsetki za rok 1924	496 111	—
			Czysty zysk	20.628	54
12.058 495	--			12.058 495	—

Zestawienie udziałowców:

W dniu 1 stycznia 1923 r należało do stowarzyszenia		433
Przystąpiło w powyższym roku		5
		438
Z powodu śmierci wystąpiło	5	
Wykluczono	9	14
Stan członków w dniu 31 grudnia 1923 r.		424

Łasin, dnia 7-go kwietnia 1924 r.

[2832 **Zarząd:**

Rost Czajkowski

„ŻYWNOPOL"

Pomorska Centrala Opałowa i Żywnownościowa

Tel. 241 **Grudziądz.** Plac 23 Stycznia 11

poleca się jako najtańsze źródło zakupu **węgla i koksu górnośląskiego** jak również wszelkich materjałów opałowych po cenach konkurencyjnych z dostawą na każde zawołanie.



Jak pochodnia ta co świeci,
Dobroć węgla w świat niech leci! —
Cena zawsze jest przystępna,
U gosposi więc pamiętna,
W „Zywnopolu" kto kupuje,
Wcale zimna nie odczuje . . .

DROGERJA MEDYCYNALNA

W. Majewski, Grudziądz

Mickiewieza nr. 21. Telefon 136.

Poleca po cenach konkurencyjnych [2838

Mydła toaletowe - perfumy krajowe i zagraniczne - pudry - kremy - wody kolońskie - wody do ust - wody na porost włosów - mydła oraz proszki do prania - oliwy do maszyn i samochodów - benzynę - terpentynę - farby :: lakiery podłogowe. ::

Specjalność: **Artykuły chirurgiczne gumowe i bandaże.**

Bezkonkurencyjny program świąteczny!

„Kino Orzeł"

Dziś, do 27-go grudnia b. r., o godz. 4-ej popołudniu.

Nie masz „Wesołych Świąt", jeżeli nie odwiedzisz swą uroczą rodaczkę **Polę Negri**

w najlepszym swym filmie p. t.

„Napiętnowana"

Wspaniały dramat obyczajowy w **8** aktach.

2848 **NADPROGRAM wedle potrzeby.**

„Dziewczę z karuzeli", film wszechświatowej sławy.

W I. i II. święto: Wielkie Przedstawienie dla dzieci o godz. 2-ej.

Polecam po cenach nadzwyczaj niskich wina pierwszorzędne wszelkiego rodzaju jak:

Bordeaux francuskie
reńskie
(2839)
węgierskie słodkie i wytrawne

W. Polley. Grudziądz

Plac 23 Stycznia 28. **Telefon nr. 780.**